ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 3 (138) NIEDZIELA, 21 STYCZNIA 1945 R. CENA 10 LIRÓW

ARP.

ŹRÓDŁO ŻYWOTNOŚCI

Na innym miejscu znajdą czytelnicy wspomnienie poświęcone pamięci Polaka, który za kraj nasz i za sprawę naszą oddał życie, choć nazywał się Iwanow i był synem Rosjanina, pułkownika armii carskiej. W jednym z poprzednich numerów „Orła" przytoczyliśmy z ukraińskiego dziennika wychodzącego w Kanadzie urywki charakterystycznych listów pisanych do brata za oceanem przez Ukraińca, żołnierza 2. Korpusu. Żołnierz ów, opisawszy tragedię swoją i swoich współziomków na terenie Rosji, zapewniał brata, że obecnie nie potrzebuje niczyjej pomocy, bo jak pisał „w wojsku wszystko dostaję i wystarczy mi na moje potrzeby... teraz jestem zdrów i dobrze mi się powodzi. Niczego mi narazie nie potrzeba". Żołnierz ów szedł do walki, by dojść może pod Monte Cassino. A dalej: Orderem Virtuti Militari odznaczył swego czasu Naczelny Wódz Żyda Koernera, bohatera walk ghetta w Warszawie.

Nie tak dawno Polska Agencja Telegraficzna donosiła, że w pierwszej połowie grudnia ub. r. przybył do Kalisza z Berlina narodowo-socjalistyczny trybunał ludowy", by sądzić wrogów ludu niemieckiego wśród miejscowych Polaków. Sąd wydał wyroki śmierci na następujące osoby: Henryka Fulde, Konrada Wuensche, Brunona Lompa, Jerzego Dreszera, Alfreda Fichigera, Elwinę Fiebiger i Alfreda Nowackiego. Irena Stark skazana została na 10 lat więzienia. Emil Fulde, ojciec straconego Henryka, skazany został na 5 lat więzienia.

Warto zastanowić się nad tym ostatnim wypadkiem. Oto ludzie pochodzący z niemieckich rodzin, przybyłych na ziemię polską przed kilkudziesięciu zaledwie laty dla celów zarobkowych, przeważnie zamożni przemysłowcy i posiedziciele wiejscy, ewangelicy, a zatem mający wszelkie kwalifikacje, by podać się za „Volksdeutsch'ów" i zająć wybitne stanowiska w hierarchii narodowo-socjalistyczne i we władzach okupacyjnych skazują się na aresztowania, stają przed sądem niemieckim i przyjmują wyroki śmierci, by nie zaprzeć się polskości, swej nowej ojczyzny, solidarności z narodem tak bardzo przecież uciemiężonym, tak bardzo dziś ubogim pod względem materialnym, na którym wrogowie i sceptycy chcieliby już położyć krzyżyk. Nie jest trudno wiązać się z krajem zwycięskim, triumfującym, bogatym. „Ubi bene ibi patria" („gdzie dobrze tam moja ojczyzna") — jest zasadą dość rozpowszechnioną na tym padole. Rzadziej, znacznie rzadziej zanotować można wypadki, by ludzie mający do wyboru dwie ojczyzny przyjmowali zasadę mniej stosowaną: „gdzie źle; tam moja ojczyzna", by właśnie w nieszczęściu zaznaczali i krwią przypłacali swą łączność z ziemią, na której, co prawda pracowali, ale którą mogli uważać za obcą. Ich czynna, a nie bierna, nie letnia i nie obojętna postawa wobec walki, którą cały naród prowadzi o wolność, ma w sobie cechy wyjątkowej wielkości, lecz jest zarazem świadectwem wielkości sprawy polskiej.

Świadectwem nieodosobnionym. W tym samym Kaliszu na początku wojny Niemcy aresztowali sędziwego pastora Wendego, w którego domu kiedyś mówiono po niemiecku, i pod zarzutem zdrady narodu niemieckiego zagnali go wraz z aresztowanymi księżmi katolickimi do obozu koncentracyjnego, gdzie zadręczony zmarł. Wypadki szczególnego zresztą znęcania się Niemców nad Polakami niemieckiego pochodzenia były dość, jak wiadomo, rozpowszechnione. Niemcy nie mogli pojąć, by ludzie, których uważali za członków Herrenvolku, wypowiadali się za Polską — kraj w ich mniemaniu „niewolników" i by czynili to w chwili jego nieszczęścia i klęski. A jednak tak było i tak jest. Za Polskę, za ideę, które ona głosi, za cywilizacją, którą reprezentuje, giną również Iwanowie i Fuldowie, Koernerowie i Wendowie, a Ukrainiec, który tyle wycierpiał w Rosji, znajduje dopiero w wojsku polskim spokój i zadowolenie i z tym wojskiem rusza do boju z myślą o swej wsi i o swej ziemi.

Objaw to na pewno nie przypadkowy, ale

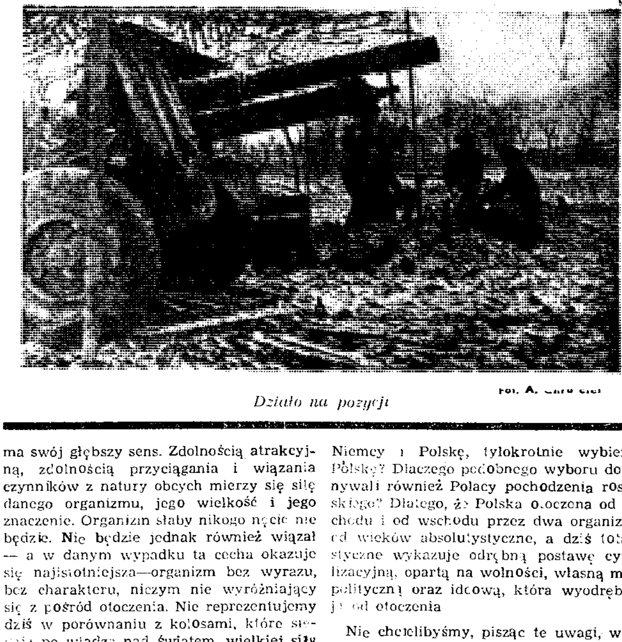

Działo na pozycji

Fot. A. [illegible]

ma swój głębszy sens. Zdolnością atrakcyjną, zdolnością przyciągania i wiązania czynników z natury obcych mierzy się siłę danego organizmu, jego wielkość i jego znaczenie. Organizm słaby nikogo nęcić nie będzie. Nie będzie jednak również wiązał — a w danym wypadku ta cecha okazuje się najistotniejsza—organizm bez wyrazu, bez charakteru, niczym nie wyróżniający się z pośród otoczenia. Nie reprezentujemy dziś w porównaniu z kolosami, które sięgają po władzę nad światem, wielkiej siły materialnej, ale wyjątkowość naszej postawy oraz tego, co głosimy i za co walczymy zniewala ku nam ludzi i zespoły, które wydawałoby się nie są pochłonięte lub nie były nawet objęte zasięgiem naszej kultury.

Jeżeli też w tej wojnie — która nie dała nam jeszcze ostatecznego zwycięstwa, o przyniosła tyle katastrof — wykazujemy jako naród siłę atrakcyjną, mimo naszej biedy i naszych wad, naszych klęsk i naszych ułomności, to fakt ten świadczy o niesłabnącej żywotności tkwiącej i rozwijającej się w naszym narodzie. Żywotność ta sprawia, że wyróżniamy się pewnymi szczególnymi wartościami wśród narodów europejskich, wartościami, które przyciągają obcych i rozbudzają nieświadomych.

Wyróżniamy się przede wszystkim walką bezkompromisową ofiarną, konsekwentną. Walka żąda ofiar, ale walka również przyciąga. Walka pozwala poznać swe siły. Gdybyśmy w tej wojnie zachowywali się letnio, cicho i kunktatorsko, nikt by przy nas nie stanął, nikt by nie zwiększał naszych szeregów. Żaden Iwanow, czy Fiebiger nie oddałby za Polskę anemiczną swego życia. Wielu obywateli Rzeczypospolitej obcego pochodzenia poczuło się związanych najsilniejszymi węzłami duchowymi z krajem, w którym żyli, dopiero w tej wojnie, gdy kraj ten stanął w ogniu, zalany z dwóch stron przez potężnych sąsiadów i gdy tym dwóm wrogom stawił czoła. Wielu z tych ludzi uznało, że kraju takiego nie opuszcza się w potrzebie.

Walkę prowadzą wszakże również Niemcy i Rosjanie. Nikt też nie odmawia różnych zalet narodom niemieckiemu, czy rosyjskiemu. Dlaczego jednak Polacy niemieckiego pochodzenia mając do wyboru Niemcy i Polskę, tylokrotnie wybierali Polskę? Dlaczego podobnego wyboru dokonywali również Polacy pochodzenia rosyjskiego? Dlatego, że Polska otoczona od zachodu i od wschodu przez dwa organizmy od wieków absolutystyczne, a dziś totalistyczne wykazuje odrębną postawę cywilizacyjną, opartą na wolności, własną myśl polityczną oraz ideową, która wyodrębnia ją od otoczenia

Nie chcielibyśmy, pisząc te uwagi, wpadać w przesadę, której uległ swego czasu Chołoniewski, gdy w głośnej książce „Duch dziejów Polski" dopatrywał się w Polakach samych zalet, a nie widział wad. Wady nasze są wielkie i słabości również. Walką z nimi, kształceniem własnego charakteru, bardziej można przysłużyć się narodowi niż schlebianiem jego wartościom. Również i dzisiaj właściwości, na które wskazujemy, nie zawsze są niestety wyrazem świadomej idei, pogłębionej myśli i konsekwentnej woli. Nie zawsze zastanawiamy się nad tym, co w przyszłości zrobimy ze zdobyczami, które dzięki atrakcyjności, jaką wykazujemy w tej wojnie, zyskujemy nieraz dość przypadkowo i wbrew naszym staraniom na różnych terenach. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że wojna ta prócz zgliszcz dała nam ogromne możliwości ugruntowania pozycji Polski oraz imienia polskiego w świecie. Nie zawsze rozumiejemy, gdzie przyczyny tej atrakcyjności i co czynić trzeba, by tych nieoczekiwanych nieraz „sukcesów" nie utracić.

Przyczyny tkwią w charakterze narodu. Jesteśmy jako kraj najbardziej na wschód wysuniętą częścią Europy. Na zachód zaś od nas żyją ci, którzy Europę zdradzili. Tym silniej zatem Polska czuje się związana z tym, co nazywamy cywilizacją europejską. Ale wśród narodów europejskich zajmuje miejsce odrębne, w koncercie europejskim reprezentuje **własny akcent**. I właśnie akcent ten pociąga. Pociąga również świeżość naszego stanowiska na tle zblazowania, zepsucia i pewnych cech dekadenckich, które ostatnio niestety wykazywała i wykazuje cywilizacja zachodnio-europejska. Skoro jednak tak jest, należy polski ten akcent — w ramach europejskiej cywilizacji — rozwijać a nie tuszować, bogacić a nie ubożyć, natężać a nie rozmazywać.

Piszemy to dlatego że istnieją czynniki na emigracji polskiej, które są innego zdania, które sądzą, że wojna stwarza doskonałą sposobność do wyrzeczenia się przez Polskę jej odrębności kulturalnej i zlania się w jakimś ogólnym bliżej nieokreślonym sosie pseudo-cywilizacyjnym, w którym zatracilibyśmy nasz wyraz.

Rok temu w styczniowym numerze londyńskiej „Nowej Polski" czytaliśmy artykuł programowy słusznie kładący nacisk na zagadnienie wychowania w kształtowaniu się nowej rzeczywistości Polski. Ale w jakim kierunku wychowanie to miało być skierowane? Oto co zalecał anonimowy autor:

„Program wychowczy polski opierać się musi o postęp nieustanny świata, odrzucić zaś musi wszelką mistykę i dialektykę. Trwanie uparcie w jednym miejscu przy hasłach odziedziczonych czy przy teorii, która nie zdała egzaminu życia, upieranie się przy niezmienności doktryn prowadzi do kompleksów psychologicznych w życiu narodów, a te z kolei prowadzą do gwałtu (?) jako jedynej metody rozwiązania. Polska potrzebuje nowej idei. Trzeba zapomnieć o Jagiellonach i o przedmurzu, bo inne to były czasy i inne stosunki i nie błyszczała wówczas tak wyraźnie jak obecnie idea zespolenia się ludzkości".

Autor uprzedzając zarzuty szybko tu zaznaczał, że „idea ta nie ma nic wspólnego z kospomopolityzmem" i że „patriotyzmu nie narusza", a tylko „pilnuje", by „patriotyzm nie wyrodził się w nacjonalizm", ale potem dodawał: „Trwanie przy idei Polski mocarstwowej, wywoływanie widm i upiorów przeszłości musi być zaniechane w przyszłym życiu politycznym a i tu na emigracji staje się palącym nakazem chwili... W obliczu przeobrażającego się świata, po katastrofie takiej, jak ta którą Polskę spotkała nie ma powrotu do przeszłości. Niezrozumienie zmian zachodzących, niedostosowywanie się do nowych warunków życia grozić może zagładą".

Tak kończył się artykuł. Jesteśmy innego zdania. Polska nie może być oczywiście krajem zacofania i konserwatyzmu. Nie może być zaściankiem, zabitym deskami od reszty świata. Chcemy i musimy być czynnymi członkami wspólnoty europejskiej, która raz powstać powinna. Nikt przytomny nie będzie nawoływał, by Polska naśladowała bezkrytycznie metody Jagiellonów, którzy działali w czasach, gdy

(Dokończenie art. na str. 4)

BARTŁOMIEJ GOMUŁA

Przyszłe wybory w Anglii

Jest rzeczą przesądzoną, że wybory w Anglii odbędą się w trzy miesiące po zakończeniu wojny z Niemcami; ponieważ zaś niemiecki "collapse" (załamanie) jest oczekiwany na wiosnę (oby i ten horoskop okazał się przesadnym czarnowidztwem), więc wybory wypadłyby prawdopodobnie gdzieś latem. Dużo zapewne może się do tego czasu zmienić: „book macherzy" nie przyjmują jeszcze zakładów co do przypuszczalnego wyniku, ale już w prasie, w przemówieniach, a już zwłaszcza w pogadankach przy kufelku piwa „mild" czy „bitter" sypią się proroctwa i horoskopy.

Każde wybory są niespodzianką, a tegoroczne zawierają więcej niewiadomych niż zwykle. Parlament obecny został wybrany w r. 1935 — normalnie zostałby rozwiązany w 1940 r., lecz wobec wojny przedłużono jego istnienie — i tak przejdzie do historii jako najdłuższy od czasów Long Parlament, który ściął głowę Karolowi I, potulnie znosił baty Cromwella i wreszcie wprowadził na tron Stuartów.

Przez 10 lat przeto „ciało wyborcze" nie miało możności wypowiedzenia się — przez ten czas wielu wymarło, a całe nowe pokolenie jest obecnie uprawnione do głosowania. Co prawda pewną wskazówką są wybory uzupełniające: istotnie ze sto mandatów zostało w ten sposób obsadzonych w tym czasie. Ale dzięki „rozejmowi" wyborczemu, na którego mocy kandydatem „narodowym" jest labourzysta tam, gdzie socjaliści zwyciężyli w 1935 r., a „torys", jeżeli konserwatyści mieli wówczas większość — wybory uzupełniające były w wielu wypadkach formalnością, albo wobec niezgłoszenia kontrkandydata nawet w ogóle się nie odbyły. W paru okręgach kandydat rządowy przepadł na rzecz „niezależnego". Najgłośniejsza była przegrana markiza Hartingtona, syna księcia Devonshire, który zresztą zaraz potem — i po ślubie z p. Kennedy, córką b. ambasadora — zginął na froncie; ale te sporadyczne porażki rządu były przeważnie wynikiem jakichś lokalnych zatargów i porachunków, nie jakichś głębszych przeobrażeń w opinii. Cechą charakterystyczną wszystkich wojennych wyborów uzupełniających była słaba frekwencja, rzadko kiedy dochodziła do 40% uprawnionych.

Innym momentem dość nieobliczalnym są duże zmiany w składzie ludnościowym okręgów. Wielka Brytania nie uniknęła migracji ludów, która takie spustoszenia poczyniła na kontynencie. Bombardowania spowodowały znaczny odpływ do wiejskich ustroni i do okolic „bezpiecznych"; rozrzucenie przemysłów wojennych sprawiło, że małe osiedla stały się ludnymi miastami; niektóre okolice, zwłaszcza koło portów, zgoła opustoszały. Wreszcie czy siły zbrojne będą głosowały w swoich okręgach, czy też na oddzielnych kandydatów? W związku z tym pewne dawne okręgi zostają znoszone, inne rodzielane na dwa, granice innych są wytyczane na nowo. Przy systemie jednomandatowym lokalne czynniki mają wpływ znacznie większy: wyborcy nie głosują na partie, ale na pana A., czy B.. — kandydaci na posłów łatami „obrabiają" swych wyborców. Obecne wybory będą dla wielu skokiem w ciemność, lub przynajmniej podróżą w nieznane.

A wreszcie są „jeżeli" polityczne. Największym jest oczywiście, czy Churchill będzie nadal premierem i przywódcą stronnictwa konserwatywnego w chwili odwołania się do woli ludu. Rzecz jasna o obaleniu go przez parlament nie może być mowy, jak dowiodły wypadki w parlamencie w dniu 8 grudnia, ale premier jest obecnie człowiekiem sędziwym — 30 listopada — wszedł w ósmy krzyżyk. Nigdy nie prowadził trybu życia ascetycznego — cygaro jego jest legendarne, ponadto od alkoholu nigdy nie stronił, a wreszcie jest to tytan pracy. Przeżył niedawno dwa zapalenia płuc. Chociaż jest człowiekiem z żelaza, z jego odejściem, lub przynajmniej wyczerpaniem świat polityczny liczyć się musi.

Ale jeżeli założymy, że wojna z Niemcami zakończy się totalnym zwycięstwem i Churchill będzie nadal pierwszym ministrem J. K. Mości — to zwycięstwo wyborcze konserwatystów nie może ulegać wątpliwości — można się tylko spierać czy będzie przytłaczające, czy też dostarczy „torysom" tylko nieznaczną większość! W tym wypadku jedynym hasłem wyborczym konserwy będzie „vote for Churchill" — „głosujcie na Churchilla" — i to wystarczy. Bo popularność Winstona Spencer Churchilla jest olbrzymia.

Popularność nie oddaje właściwego stosunku Anglików do premiera — to jest raczej miłość. Niedawno bardzo wybitny dziennikarz angielski tłumaczył mi, że Anglicy w swych dziejach dwu ludzi kochali: Nelsona i Churchilla. W tym narodzie tak opanowanym, tak niesklonnym do wzruszeń, do wielkich słów, do patosu, do gestów wyczuwało się naprawdę niepokój i przygnębienie, gdy rok temu wydawało się, iż życie Churchilla wisiało na włosku. Winston ma wszystkie atrybuty popularnego męża stanu: pochodzi z wielkiej, książęcej rodziny, ojciec jego był głośnym mężem stanu, on sam jest w polityce i w parlamencie od lat przeszło 40, piastował niezliczoną ilość urzędów, doszedł do wieku, który w Anglii otacza polityków nimbem powagi i dostojeństwa. Anglicy nie mają zaufania do młodych ludzi: polityk, jak dobre wino, powinien być niemal zbutwiały.

Ale oczywiście Churchill ma i inne tytuły do panowania nad sercami swoich ziomków. Któż tu nie pamięta jego przepięknych przemówień, gdy Anglia stała nad brzegiem przepaści? Kto nie drgnie na wspomnienie tego niezrównanego głosu, który krzepił i napawał wiarą wśród huku bomb, wśród łun pożarów Londynu? Kim nie wstrząsnął ten język wspaniały — bo Churchill jest jednym z największych mistrzów angielskiej prozy wszystkich czasów (choć jest zlekka zanadto kwiecisty), któż nie powtórzy jego niezrównanych powiedzeń (gdy Francja nawaliła) „if necessary for years, if necessary... alone" (gdy trzeba będzie na lata, gdy trzeba będzie... sami), albo o R.A.F.: „never in the history of human struggle was so much owed by so many to so few" (nigdy jeszcze w dziejach walk ludzkości tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak małej liczbie ludzi).

Tak, dzisiaj, Churchill już nie jest tak porywającym mówcą, jak parę lat temu, głos jego osłabł, przebija zmęczenie, zdania jego jakoś zbladły, już nie ma tego geniuszu co dawniej wynalezienia zwrotu, który porywa wszystkich, dowcipu, który wywoła salwy śmiechu. Ale jeszcze, jeszcze..... jednak gdy Churchill mówi przez radio, we wszystkich szynkach i barach i knajpach i pałacach i chałupach cicho jak makiem siał. Churchill nie może przegrać wyborów, plebiscyt — a taki charakter muszą mieć wybory, w których będzie on przewodził jednemu ze stronnictw ubiegających się o votum zaufania — musi mu przynieść druzgocące zwycięstwo.

Wiedzą o tym doskonale przywódcy Labour Party. I dlatego wbrew swemu radykalnemu skrzydłu, wbrew swym hałaśliwym pomagierom inteligenckim przywódcy partii bardzo niechętnie idą na zerwanie koalicji po wojnie — po cichu woleliby koalicyjne wybory t.zn. właściwie wyznaczenie kandydatów przez rząd na podstawie obecnego stanu posiadania stronnictw. Pobić Churchilla nie mogą i ponadto nie chcą. Osobiście Churchill może ma więcej oddanych sobie ludzi wśród ministrów labourzystowskich — jak np. Bevina, Alexandra i innych, niż we własnym stronnictwie, gdzie miał sporo zadawnionych sporów, antagonizmów osobistych, porachunków personalnych. Konserwatyści jako machina partyjna zbytnio Churchilla nie kochają. Zapewne dobrze wiedzą, że bez niego nie dadzą sobie rady. Zepewne, będą szermowali nim ile się tylko da. Ale mimo wszystko to nie jest prawdziwie „swój" człowiek, to nie jest ten stu procentowy Baldwin czy Chamberlain. „Główne biuro konserwatywne"—ta może najpotężniejsza, ale najbardziej tajemnicza organizacja w Anglii (bo nikt nawet dobrze nie wie, kto tam siedzi i kto tam istotnie dzierży władzę). Churchilla będzie oficjalnie uwielbiało, ale w sercu będzie zawsze odnosiło się do niego z odcieniem nieufności.

Gdyby Churchilla zabrakło, wybory mogłyby zakończyć się niespodzianką. Osobiście sądzę, że konserwatyści i tak by je wygrali, ale może się zdarzyć, że żadnej zdecydowanej większości nie będzie i konserwatyści będą tylko partią najsilniejszą (to ostatnie nie ulega wątpliwości).

Teraz jak wyglądają partie? Nie mam bałwochwalczego stosunku do brytyjskich „torysów". Nie mają oni monopolu na rozum, ani zwłaszcza na cnotę.

Partia konserwatywna składa się z elementów rozlicznych — w Polsce byłaby podzielona na przynajmniej 10 stronnictw. Porównać ją można z kościołem anglikańskim, w którym część kleru hołduje tzw. anglo-katolicyzmowi i w naśladowaniu Rzymu idzie tak daleko, że nabożeństwa odprawia po łacinie; drugie zaś skrzydło tzw. Low Church obrządkowo dogmatycznie niczym właściwie nie różni się od najbardziej rewolucyjnych sekt protestanckich. Podobnież wśród torysów istnieją „die — hardie", reakcjoniści o czarnym podniebieniu; istnieją agenci wielkiego kapitału; jest sporo arystokratów i ziemian (właśnie Churchill jest typowy dla tej grupy), istnieją liberałowie, są wreszcie i radykali, neosocjaliści itd. Ale właściwa władza w stronnictwie przeszła gdzieś w latach dwudziestych z rąk starych rodzin magnackich jak Cecilowie, Stanleyowie itd. do City, do przedstawicieli wielkiego przemysłu i wielkiej finasjery. Ideałem tych ludzi był Baldwin i Chamberlain, z Churchillem pracują, bo muszą, ale w sercu woleliby sir Johna Andersona, obecnego kanclerza szachownicy (ministra skarbu), albo nawet Edena, który w sprawach wewnętrznych da sobą łatwiej pokierować.

Wielki kapitał dostarcza funduszów — głównie przemysł browarniczy — i to jest decydujące. A wielki business nie jest elementem w polityce międzynarodowej najbardziej dalekowzrocznym ani idealistycznym. Sobkowski, ciasny, zazdrosny, krętacki — niepewny i nieprzyjemny to partner. Partia konserwatywna — to jest w gruncie partia izolacjonistyczna. Gdyby mogła — najchętniej odwróciłaby się od Europy. Przez 20 lat próbowała ją sprzedać Niemcom, obecnie próbuje ją sprzedać Rosji, a jeśli ta tranzakcja się nie uda — to nie dlatego, że brak po temu w City dobrej woli. Wśród konserwatystów jest mniej rusofilów, niż wśród socjalistów, ale z drugiej strony jest też jeszcze mniej sympatyków tzw. małych narodów, których wielu labourzystów broni w imię pewnych zasad i ideałów ogólnych.

Partia konserwatywna jest niestety skłonna do daleko idącego cynizmu w sprawach międzynarodowych i obciążanie jej odpowiedzialnością za Monachium nie jest czczym oszczerstwem. Duch monachijski, duch appeasementu, duch odwrócenia się od Europy w niej dalej pokutuje. A ponadto partia torysów odznacza się inną małostkowością. Widać to w tej chwili najjaskrawiej w stosunku do Włoch: żaden głos szczerej sympatii dla tego nieszczęsnego kraju nie podniósł się na prawicy. Nikt tam się też nie zatroskał o losy Węgier czy Rumunii. Natomiast konserwatyści popierają aspiracje niepodległościowe Libanu z zazdrości w stosunku do Francji i nadmiernej troki o interesy angielskich spółek naftowych na Bliskim Wschodzie.

Labourzyści też nie są partią zjednoczoną i z jednej bryły. Ich prasa jest znacznie bardziej lewicowa od partii samej. Albowiem intelektualiści Partii Pracy robią dużo hałasu, ale na Partię samą mają niewiele wpływu. Jak konserwą rządzi „big business" tak Partią Pracy rządzą związki zawodowe i to nawet w o wiele większym stopniu. Znowuż finanse — związki zaw. są bogate i one dostarczają funduszów partyjnych i wyborczych. Podobnież bezpośrednich członków Partii Pracy jest zaledwie pół miliona, a via członkostwo związków zawodowych około pięciu. Przywódcy ci obsadzają mandaty swoimi ludźmi, urzędnikami związków zawodowych. Ci leaderzy trade unionów są w swoim rodzaju skrajnymi konserwatystami — ani myślą o socjalizacji i wywłaszczeniu. Jedyną ich troską jest wywalczenie wysokich płac i dobrych warunków pracy dla swych związków. Przez całe życie przyzwyczaili się, iż są partnerami jakiegoś potentata kapitalistycznego — i jak ich krytycy twierdzą, gdyby takiego „rekina" nie mieli przed sobą, nic wiedzieliby co mają robić.

Wreszcie trade uniony są bardzo bogate: taki Bevin, dawny sekretarz związku transportowców, dysponował kapitałem około 20 milionów i płasując go uprawiał politykę najściślej kapitalistyczną — żadnych tam, Panie, wielkich frazesów tylko najwyższy procent. Istnieje stały zatarg między lewicą Labour Party a jej prawicą, która rządzi niepodzielnie w stronnictwie. Najwybitniejszy z tych lewicowców, sir Stafford Cripps, został z partii wydalony, a inni radykałowie jak Shinwell i Bevan są stale na wylocie. Wszyscy ministrowie Labour Party z Morrisonem, Bevinem i Attlee na czele, należą do jej skrajnie prawego skrzydła. Ludzie ci chcą wpływów, nie władzy. Zupełnie ich zadawala rola mniejszości — jedna trzecia tek w gabinecie w pełni zaspakaja ich ambicje. I znacznie czują się lepiej z torysami niż z własną lewicą.

To jedno źródło kłopotów. Istnieją i inne. I tak znaczna część żelaznych mandatów labourzystowskich — to wschodnie i południowe okręgi Londynu. Okręgi te najbardziej ucierpiały od blitzu, a później od V 1 i V 2. Gdzie jak gdzie, ale tam propaganda „dobrych Niemców" nie trafia. A tymczasem w Labour Party mit dobrych Niemców i akcja na rzecz łagodnego traktowania Niemiec są wciąż żywe. Czy tacy zdecydowani germanofile (choć antyhitlerowcy) jak Strauss, Stoke i inni potrafią obronić swe mandaty z East Endu Londynu — wolno wątpić.

Wśród Labour Party jest pewna ilość zdecydowanych sowietofilów, ale partia w całości nie żywi do Z. S. R. R. żadnej sympatii. Nienawidzi ona bowiem komunistów, którzy rozbijają jedność związków zawodowych i klasy robotniczej. Animozja Partii Pracy do komunizmu jest większa nawet niż na prawicy. I tak jak skrajnie prawicowemu rządowi Chamberlain'a łatwiej było dokonać zakrętu i odwrócić politykę udobruchania Hitlera — bo przez prawicę rząd ten atakowany być nie mógł — podobnież rządowi Labour Party Morrisona na przykład — może być łatwiej zerwać z ustępstwami w stosunku do Rosji niż rządowi konserwatywnemu, który mógł się wahać obawiając się ataków na lewicy. W każdym razie bez zgody Labour Party żaden rząd angielski na antyrosyjską politykę pozwolić sobie nie może.

Wreszcie Labour Party ma więcej szacunku i zrozumienia dla praw i racji bytu małych narodów niż konserwatyści. Do kwestii zasad odnosi się uczciwiej i poważniej od swych prawicowych konkurentów. Żadne pismo nie pisało o Polsce tak niesmacznie i złośliwie jak konserwatywny „Times". Żaden gość Labour Party nie stawiał tak jaskrawo krzyżyka nad Polską, jak konserwatywny przedstawiciel Oxfordu, Quintin Hogg, syn arcymonachijczyka Lorda Maugham. I dlatego nie uważałbym zwycięstwa Labour Party w wyborach (choć w nie nie wierzę) za klęskę dla świata, Europy czy Polski. Przeciwnie, mogłoby ono oczyścić atmosferę, przewietrzyć złe wyziewy, ożywić świat pewnym powiewem idealizmu i bezinteresowności, którego nasz glob nieszczęśliwy i zatruty kłamstwem, cynizmem i zmaterializowaniem tak gwałtownie i koniecznie potrzebuje.

Nowe książki

Już się ukazały i są w przedaży dalsze wydawnictwa „Biblioteki Orła Białego".

Quo Vadis — H. Sienkiewicza — t. I i II — cena 160 lirów, za dwa tomy.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie Drugie — z nową przedmową Ryszarda Piestrzyńskiego.

Artykuły zebrane — Adolf Bocheński — Cena 50 lirów.

Wspomnienia Starobielskie — Józef Czapski — Cena 50 lirów.

Wracające żagle — Janusz Wedów — poezje — cena 40 lirów.

Przewodnik serdeczny — Bolesław Kobrzyński — poezje — cena 40 lirów.

MICHAŁ SOKOLNICKI
Ambasador R. P. w Ankarze

POLSKA I TURCJA (I)

Odczyt wygłoszony w gronie Polaków w Ankarze.

Pierwszym wrażeniem Polaka przybywającego do Turcji jest poczucie obcości. Inny to kraj, odmienni zupełnie ludzie. Trudno jest wżyć się w tak różne charakterem, uczuciowością, filozofią społeczeństwo. Na innych podstawach religijnych powstały tu pojęcia, warunki pracy, klimatu, powietrza odmiennie urabiały ludzi. Ta ziemia jest nam obca. Na ogromnych płaszczyznach Anatolii, wśród wyżyn monotonnych i bezpłodnych, pozbawionych drzew i nieprzeciętnych strumieniami czujemy się daleko od własnych nizin, od barwnych łąk, od pól ogrodzonych i lasów dorodnych pod horyzontem bliskim. Nawet wyżyny są nie takie jak nasze, wydają się bezkresne i puste, bez ruchu i bez rozmaitości; rzeki są rzadkie i bez wdzięku, a jeziora błotniste i bez życia. Osiedla ludzkie są dla nas jak świat zamknięty, mało zrozumiałe są obyczaje, a język nie przypomina nam niczego co rodzinne.

A jednak, żeby zacząć tylko od języka, dość trochę się rozpatrzyć, wejść w szczegóły, zbliżyć, by odnaleźć nieoczekiwane związki, ślady jakichś wspólności i pokrewieństw, podobieństwa dawne. Przede wszystkim wzięliśmy od Turków wiele z tego, co w naszym języku dotyczy koni. Bo konie widocznie dostarczała nam Turcja. Słowo „kara" — czarny, zastosowaliśmy po polsku, ale tylko do koni; „bułanek" pochodzi również z tureckiego, b u i a n i k oznacza kolor niewyraźny; smagać konie jest po turecku h a y d a — skąd pochodzi nasze ludowe „hejta"; naszą konnicę nazwaliśmy w XVI wieku „ułanami" — od tureckiego słowa u g l a n — młodzian; wreszcie z tureckiego wzięliśmy słowo „majdan", co oznacza rynek, a u nas — rynek koński; z tureckiego również pochodzi ubiór konia — „czaprak".

Uczeni doszukali się ponad 200 słów w języku polskim, pochodzących z Turcji. Naturalne jest, że „kawę" wzięliśmy tak, jak inne narody, z tureckiego, ale jedyni nie zmieniliśmy wyraźnego w tym słowie dźwięku „w" ani akcentu położonego na pierwszej sylabie. I nazwę naczyń do kawy — „imbryk" i „filiżankę" — wzięliśmy wprost z języka tureckiego. Najwidoczniej pozostały w naszym języku ślady, że szczegóły ubioru braliśmy ze Wschodu za pośrednictwem Turcji: kolor czerwony — „karmazyn", którym określono potem w Polsce ubiory magnackie, wzięliśmy ze słownictwa tureckiego; „burnus", "baszłyk" i „czapkę" przejęliśmy również stamtąd. „Wiśnie" musieliśmy widocznie sprowadzić z krajów tureckich, bo jest to słowo stąd właśnie wzięte. „Tyłoń" sprowadzaliśmy naturalnie, co najmniej w XVI w., z Turcji i nazwaliśmy go słowem wziętym żywcem z tureckiego t u t u n. Język turecki przyniósł do nas z Persji popularną niegdyś „lulkę", C u b u k zaś stał się u nas „cybuchem".

Wyraz m e s e i t przerobiliśmy w zgodzie dźwiękowej z pierwowzorem na „meczet", o wiele podobniej niż we francuskim brzmieniu m o s q u e e, czy angielskim m o s q u e. Interesujące byłoby zbadać zmiany w znaczeniu, jakie daliśmy różnym słowom branym ze Wschodu: „dywan" oznacza po turecku wysoką godność, kierownicze organy, czy reprezentację i używano go w Polsce także w tym znaczeniu, jak Francuzi określenie „Sublime Porte"; dlaczego oznaczał On w końcu u nas tylko „kobierzec"? Są zmiany sensu całkiem zabawne: b u r d a to po turecku „tutaj", ale tak często w codziennej gwarze tureckiej powtarzane wydało się widać Polakom oznaką kłótni; możnaby nawet przypuścić, że nasze słowo „beszta" ma podobne źródło — pochodne od b e s — „pięć" lub b e s t a n e — „piąty", często powtarzanego u Turków.

I nagle spotykamy nieoczekiwane stwierdzenie u znakomitego historyka Turcji, z początkiem XIX wieku, Austriaka Hammera, który z pewnym zdziwieniem podaje, że żadne państwo nie utrzymywało z Turcją tak bliskich łączności za czasów Sulejmana Wspaniałego i żadnego innego kraju misje nie były tak liczne w stolicy Padyszachów, jak właśnie polskie. W istocie stosunki między Polską a Turcją mają za sobą 500 lat historii. Zapewne, przyszliśmy na Wschód nie sami, lecz za pośrednictwem innych. Toż przecież dopiero małżeństwo Elżbiety Piastówny z Andegawenem otworzyło wrota przed powstającym mocarstwem Europy środkowej na Wschód czarnomorski, na szlaki zabałkańskie. Zupełnie inaczej niż Ruś, nie mieliśmy żadnej łączności z Bizancjum, nie byliśmy krewnymi Greków, li tylko przez wzory łacińskie czerpaliśmy z dawnych krynic śródziemnomorskich. Węgry stały się jedną z dróg naszych na południowschód i to dopiero wtedy, gdy sztandar proroka powiódł zastępy tureckie na zachód, gdy południowe słowiaństwo zostało już ujarzmione przez sułtanów Osmańskich z Brusy. Syn Elżbiety, Ludwik król węgierski i polski, był pierwszym z królów polskich sąsiadem Turcji. Związek polsko-węgierski, wynikający z więzi dynastycznej stworzonej przez litewskiego Jagiełłę i Andegaweńską Jadwigę, stał się punktem wyjścia polskiej polityki wschodniej. Władysław Jagiełło, król polski, dał jej pierwsze ujęcie na zjeździe w Łucku w 1429.

Zesłani powstańcy 1863 r. w drodze na Sybir (Rysunek Artura Grottgera)

Spojrzyjmy przez chwilę na to kształtowanie się Europy w chwili, kiedy się tworzy mocarstwo Jagiellońskie. Od zachodu, od południo-zachodu stoją przed nim zwarte, jednolite organizmy narodowo-państwowe, niemiecki i czeski. Od ich strony obowiązuje Polskę tylko obrona, nie ma pola, ani możności do rozwoju czy ekspansji. W przeciwieństwie do tych krajów o zwartych ośrodkach, do tych państw ustalonych i zorganizowanych, Polska ma do czynienia na wschodzie i na południu z niepewnością i brakiem ustalonych granic, z niesprecyzowanymi możliwościami. Na wschodzie Ruś, dopiero co wykuta z tatarskiego jarzma, słopniowo organizująca się w nieustalone jeszcze formacje państwowe. Na południo-wschodzie kraje zbiżone, nieokreślone narodowo ani kulturalnie, stające się dopiero, będące zaczynem czegoś w przyszłości, częściowo — dzikie pola. Południowe słowiaństwo legło ofiarą ekspansji tureckiej i podobnież Multany i Wołoszy, szczątki dawnych rzymskich kolonii nad Dunajem, prowincje naprzód wysunięte bizantyńskich Greków są tylko formacją pozostałą z przeszłości, lub też zaczynem czegoś co powstanie kiedyś. Tutaj jest teren wielkiej ekspansji na nowo powstającego mocarstwa polsko-litewskiego z ambicjami spadkobierstwa Węgier.

O te drogi imperialnego rozwoju, o przewagę w międzykrajach, następuje w XV stuleciu współzawodnictwo między mocarstwem Jagiellońskim — państwem polsko-litewskim skojarzonym z Węgrami, a nowym mocarstwem Osmanów. Przeciw o federacji tworzącej się w Europie środkowo-wschodniej pod wodzą Polski staje Turcja, organizm równie prężny, zdolny do ekspansji, gotujący się do wojen i zaborów. Są to wielcy sułtanowie Brusy z rodu Osmanów, którzy po roku 1400 przenoszą swoją stolicę do Adrianopola, a w 1453 opanowują Konstantynopol. To władztwo Turków nad dawnym Bizancjum, nad grobem Konstantyna Wielkiego, mogło się urzeczywistnić tylko dlatego, że w 9 lat przed tym w 1444 r. poległ pod Warną pierworodny syn Jagiełły — Władysław. Klęska polsko-litewskiego wojska złączonego z Węgrami pozwoliła dopiero mocarstwu Osmanów rozciągnąć swe bezsprzeczne panowanie nad drogami ze Wschodu włodącymi do Europy.

Między tymi dwiema potęgami — Jagiellońską i Osmańską — musiało dojść nie tylko do głębokiego współzawodnictwa o władztwo w środkowo-wschodniej Europie, ale do bezpośredniego starcia o to, kto będzie przewodził, kto narzuci swoją wolę krajom i narodom w rozległym międzyżłądzie, który je dzieli. Mocarstwo polsko-jagiellońskie występuje w tym sporze dla interesów ekspansji własnej; ale jednocześnie jako spadkobierca idei wojen krzyżowych. „Obrona chrześcijaństwa" zastąpiła dawne hasło wojny o „Grób Święty". W imieniu chrześcijańskich potencyj wystąpił Jagiełło na zjeździe w Łucku w 1429. W imieniu chrześcijaństwa walczył i poległ pod Warną w 1444 król polski i węgierski — Władysław. O losy chrześcijaństwa błagał na kolanach króla Jana III w 1683 legat papieski. Po drugiej stronie władcy z dynastji Osmanów walczyli początkowo i aż po bitwę pod Warną o zabezpieczenie swojego państwa, o ustalenie władzy założonej w Azji przedniej i na Bałkanach. Ale z biegiem czasu objęli oni tradycję arabsko-muzułmańską panowania nad wschodnim światem i niebawem sułtani z tej dynastii od Mehmeta II po Mehmeta IV walczyli o przewagę w Europie, o panowanie nad krajami od Bosforu po Azow, od Oczakowa i Kamieńca Podolskiego po Budapeszt i Wiedeń. Na przeciw koncepcji wielkiego państwa federacyjnego Europy środkowo-wschodniej, złożonego ze Słowian, Rusi, Litwy i Węgier, stanęła koncepcja muzułmańskiego Bizancjum, który dziedziczył tradycje zachodnio-rzymskiego imperium.

Ta podwójność celów i zadań odbiła się na całym przebiegu konfliktów wojennych polsko-tureckich. Dwa szczytowe ich punkty — bitwa pod Warną 1444 i bitwa pod Wiedniem 1683 — były z punktu polskiej racji stanu omyłką. Krew przelana przez pierworodnego Jagiellończyka pod Warną była Matematerską ofiarą, ale była też krwią przelaną za interesy cudze. Jest rzeczą znamienną, że historia zachodnio-europejska opisując tę bitwę nazywa ją zawsze bitwą węgierską, co odnosi przez Hunyadego i zaledwie wymienia imię Warneńczyka. Jest to oczywiste fałszowanie historii, jedno z niezliczonych fałszerstw dokonanych w XVIII i XIX stuleciu, wtedy kiedy Polski nie było ani w naradach międzymocarstwowych, ani na katedrach uniwersyteckich. Bitwa pod Warną toczyła się wokół młodzieńczej postaci Warneńczyka i otaczającej go kohorty polskich rycerzy, i wraz ze śmiercią króla została przegrana dla sprzymierzonych polsko-węgierskich wojsk. Ale to wstydliwe traktowanie do dziś dnia decydującego udziału Polski Jagiellonów w tej bitwie jest jeszcze jednym późnym dowodem, że nie o polskie przede wszystkim interesy była stoczona.

Jakiż interes miała Polska zrywać uroczysty traktat z Muradem II i wznawiać spóźnioną ideę „wojen krzyżowych". Tradycje Krzyżowców Polska znała w swoim zakresie jedynie w postaci teutońskich Rycerzy Krzyża i właśnie 34 lata przed tym z tymi zaborczymi szerzycielami germańskiego chrześcijaństwa Polska stoczyła walną rozprawę pod Grunwaldem. Cesarstwo niemieckie nie okazywało chrześcijańskiej solidarności z Polską i w połowie XV wieku nie było oczywistej solidarności między chrześcijańskimi władcami. Walczyliśmy tedy wówczas w imię interesów obcych — papieskich i węgierskich. Jednakże Rzym wówczas za głównego swego wroga uważał nietyle następujące na Europę południowo-wschodnią zalewy tureckie, ile schizmatyków greckich z Konstantynopola i kontynuował prawie aż w przeddzień upadku Bizancjum jałowy spór dogmatyczny, podkopujący samą treść zasad i dążeń chrześcijańskich. Co się zaś tyczy Węgier, to wkrótce po klęsce warneńskiej Polska wycofuje się stamtąd, odstępując osiągnięte stanowisko najpierw Lotaryńczykom, potem Habsburgom. Bitwa Warneńska nie tylko nie zatrzymała nawały tureckiej, ale wywołała ostateczny jej przypływ: ona to jest punktem zwrotnym, który pozwolił Turkom w 9 lat potem zawładnąć Konstantynopolem; niewczesna wyprawa krzyżowa położyła istotne podwaliny pod rozpostarte na cały wschód południowy cesarstwo Osmanów.

Podobnież było na drugim krańcu tych wojennych dziejów, z przesławną i nieszczęsną wyprawą Sobieskiego pod Wiedeń. Jeżeli pod Warną poległa część rycerstwa rozwijającej się dopiero i rozrastającej potęgi Jagiellońskiej, to pod Wiedeń szły ostatnie szeregi tego pełnego chwały zastępu wyobrażające możność ekspansji i odrodzenia Rzeczypospolitej. Szły niepotrzebnie i w fałszywym kierunku. Wyprawa pod Wiedeń wypadła na ten właśnie okres dziejowy, kiedy Brandenburg wyłamywał się ostatecznie z pod praw lennych Polski i kiedy na wschodzie dynastia Romanowych otrząsła z siebie ostatnie ślady słabości i echa polskiej ekspansji w ziemiach ruskich. To też po zwycięstwie pod Wiedniem w 1683 następuje nieomal bezpośrednio ogłoszenie królestwa pruskiego w 1701 przez Fryderyka I, a w niedługi czas potem w 1709, bitwa Piotra Wielkiego pod Połtawą: oba dziejowe wypadki przygotowujące rozbiór Polski. Tak samo tedy, jak klęska pod Warną, tak zwycięstwo pod Wiedniem dokonane w imię interesów cudzych było błędem — a błąd ten był tym razem cięższy, gdyż pożądanie państwa było trudne, a wyjście znalezione z tego położenia — najgorsze. Uratowani przez Sobieskiego Habsburgowie odwdzięczyli się w 89 lat później udziałem w pierwszym rozbiorze.

Te dwa szczytowe punkty wojen polsko-tureckich opowiadają nam tylko ich najwyższe natężenie. Wojny te miały swoje wielkie czy niesławne epizody. Klęska pod Cecorą w 1620 zmazana została pierwszą chodkiewiczowską bitwą pod Chocimem w 1621. W 50 lat potem, rezultatem smutnych i zawiłych bojów był haniebny pokój buczacki w 1672 i znów jego hańba zmytą została krwią przelaną w drugiej bitwie pod Chocimem w 1673, wygranej przez hetmana Sobieskiego. Ale jeżeli się wspomni na te epizody chwały czy klęski, rozpraw rycerskich czy ucieczek, zagonów i niszczeń wzajemnych, to nie należy sądzić, że z nich tylko składa się historia stosunków polsko-tureckich w tym okresie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Historia Polaka o nazwisku Iwanow

W związku z depeszą korespondenta PAT'a, o śmierci Jerzego Iwanowa, Polaka, który był postrachem Niemców i wyróżł na bohatera walk wolnościowych Grecji, zamieszczamy wspomnienie poświęcone padłemu na posterunku bohaterowi, pióra człowieka, który go znał osobiście.

Jerzego Iwanowa poznałem w r. 1932 w Salonikach. Pewnego dnia przyszedł do mojego biura konsul francuski w towarzystwie dyrektora miejscowego gimnazjum (ecole laique) i tłomacząc się, że zwraca się do mnie jako do jedynego Polaka w mieście, prosił mnie o przeprowadzenie egzaminu maturalnego z języka polskiego ucznia tej szkoły. Początkowo starałem się uchylić od tego, usprawiedliwiając się, że nie jestem polonistą, że brak mi czasu, ale nalegania konsula, a wreszcie ciekawość, kto to może być uczniem, który wybrał język polski na maturze francuskiej w mieście greckim (a noszący, jak się później okazało, nazwisko rosyjskie) wzięły górę i — zgodziłem się.

Kiedy w oznaczonym dniu przyszedłem do gimnazjum, przedstawiono mi młodego, najwyżej 19-letniego młodzieńca o wysmukłej wysportowanej sylwetce, o jasnoblond włosach i szaro-niebieskich oczach. Typowy słowianin, pomyślałem.

Cały egzamin sprowadził się do rozmowy o literaturze polskiej. Pytałem go, co czytał, co mu się najwięcej podobało, kto jest jego ulubionym autorem. Padały odpowiedzi jasne, przemyślane, w poprawnej, bez cudzoziemskiego akcentu polszczyźnie. Kiedy po zakończeniu „egzaminu", wpisaniu do matury „celująco" i obowiązkowym „vin d'honneur" w gronie nauczycieli, opuściłem z Iwanowym gimnazjum, nawiązała się od razu między nami nić przyjaźni. Jerzy prosił mnie, żebym koniecznie odwiedził go w domu, gdzie matka jego będzie się bardzo cieszyła z poznania rodaka.

Pan Lambrianides — bo tak się nazywał ojczym Jerzego Iwanowa — przyjął mnie nadzwyczaj serdecznie i od tego czasu aż do odjazdu mego z Grecji łączyła mnie z ich domem serdeczna przyjaźń. Dowiedziałem się tam o historii życia Iwanowa, historii z pozoru zdawałoby się prostej, a jakże charakterystycznej.

Matka Jurka była warszawianka. Przed pierwszą wojną światową wyszła za mąż za pułkownika armii rosyjskiej, Iwanowa, dowódcę jednego z pułków gwardii, stacjonowanego wówczas w Warszawie. Że pułkownik Iwanow był czystej krwi Rosjaninem — nacjonalistą, nikt chyba nie ma wątpliwości, wiedząc kogo wysyłał do „Priwislinia" rząd rosyjski. Z wybuchem wojny r. 1914 płk. Iwanow ze swym pułkiem odszedł na front, a pani Iwanow z malutkim Jurkiem (Iwanowem) uciekła przed Niemcami gdzieś na południe Rosji, czy na Kaukaz. Tam poznała zrusyfikowanego już Greka, Janisa Lambrianidesa, i wyszła za niego za mąż. Po wybuchu rewolucji w Rosji cała rodzina pp. Lambrianidesów, pokonywując wiele niebezpieczeństw i przeciwności uciekła do Polski i osiadła na czas jakiś w Warszawie, gdzie p. Lambrianides, rzutki i przedsiębiorczy człowiek, prowadził szczęśliwie interesy, a po ustabilizowaniu się stosunków wrócił z całą rodziną, która składała się teraz, prócz rodziców i Jurka Iwanowa, jeszcze z dwóch młodych Lambrianidesów — do swej greckiej ojczyzny.

Dom pp. Lambrianidesów był punktem zbornym dla wszystkich osiadłych tam chwilowo lub coraz częściej odwiedzających Grecję Polaków. Wszyscy znajdowali tam staropolską gościnność, pomoc i radę. Najwięcej garnął się do Polaków Jurek. Doskonały pływak, żeglarz i myśliwy, całe dnie spędzał latem na morzu. Po skończeniu gimnazjum wyjechał na wyższe studia do Belgii, na uniwersytet do Louvain, gdzie emigranci z Rosji mieli jakieś specjalne ulgi. Jurek miał paszport nansenowski, co go bardzo martwiło. Nie chciał przyjąć obywatelstwa greckiego, bo czuł się Polakiem, a mieszkając za granicą miał trudności z uzyskaniem obywatelstwa polskiego, zwłaszcza ze względu na swoje nazwisko.

Przypadek dopomógł mu w tym. Na urlop do Grecji przyleciał mjr. dypl. M. z Min. Spr. Wojsk., czy z GISZ'u, którym się zaopiekowałem, jako jedyny „oficialny" Polak w Salonikach. W rozmowie opowiedziałem mu o Iwanowie i jego troskach. Zainteresował się nim i po poznaniu Jurka, całe dnie spędzał z nim na żaglówce, robiąc dalekie wycieczki po pięknym morzu Egejskim. Przed odjazdem zaprosił Jurka do Warszawy, obiecując mu dopomóc w otrzymaniu upragnionego obywatelstwa. Sporo trudu kosztowało mnie przekonanie ojczyma Jurka, p. Lambrianidesa, że Jurek musi jechać do Belgii przez... Polskę! Pamiętam, jak się cieszyłem, dostawszy w jesieni list od Jurka z Louvain, donoszący mi z nieukrywaną radością, że jest już Polakiem nie tylko z przekonania, ale i z paszportu.

Przypominam sobie szczegół charakterystyczny dla mentalności Iwanowa: mieliśmy sporo znajomych Rosjan wśród b. wojskowych z armii Wrangla, którzy po porażce białych osiedli w Salonikach, tworząc zwartą kolonię. Jurek, znający doskonale język rosyjski, na zapytanie ich w tym języku, odpowiadał zawsze po francusku. Oburzało to Rosjan, którzy dowodzili mu, że będąc sam Rosjaninem ma obowiązek mówienia w tym języku. Wówczas Jurek z oburzeniem odpowiadał, iż poza nazwiskiem nic nie ma w sobie rosyjskiego. Dlaczego więc nie zmieni nazwiska, pytano go? „Bo nie mogę się wstydzić nazwiska mego ojca" — odpowiadał. Mówił natomiast chętnie po grecku i kochał Grecję, w której spędził swe dzieciństwo i młodość.

Na rok przed wybuchem wojny przeniesiono mnie ze słonecznej Grecji nad szary Bałtyk. Z żalem opuszczałem ten kraj, gdzie przeżyłem tyle szczęśliwych lat. Z żalem też żegnałem miły dom pp. Lambrianidesów i Jurka, z którym w czasie wakacji nie rozstawaliśmy się prawie. Wybuch wojny przerwał nawet naszą korespondencję.

Dopiero po wydostaniu się z Sowietów i po przejściu z pustyni Iraku do Palestyny po raz pierwszy doszły mnie wiadomości o nim. Dowiedziałem się, że po zajęciu przez Niemców Grecji przyjechał na Sr. Wschód i zgłosił się do Armii Polskiej. Zaręczył się tam nawet podobno. Potem wrócił jednak do Grecji, żeby walczyć w oddziałach partyzanckich przeciwko najeźdźcom, nie bez kontaktu dalszego, jak mam podstawę przypuszczać, z polskimi władzami wojskowymi.

Później od dawnych znajomych, którzy uciekali z okupowanej Grecji spiesząc do armii greckiej organizującej się na Sr. Wschodzie, miałem regularne wiadomości o Jurku: walczy w partyzanckich oddziałach, wysadza mosty i transporty, jest postrachem Niemców, którzy wyznaczyli jakąś fantastyczną nagrodę za wydanie go martwego czy żywego. Na drugi dzień na plakatach niemieckich niewidzialna ręka nakleiła inny afisz, wyznaczający pięciokrotnie większą nagrodę za wydanie tego, kto zdradzi Iwanowa!

Wreszcie dopadła mnie wiadomość ostatnia: Jurek nie żyje! Rostrzelali go Niemcy złapawszy wreszcie w czasie jednej z jego wypraw. Szczegóły były sprzeczne, jedni mówili, że zginął pod salwami plutonu egzekucyjnego, inni że w czasie przewożenia do więzienia, gdy próbował ucieczki.

W końcu w około osoby Iwanowa zaczęła się tworzyć legenda. Mówiono, że jednak zdołał umknąć i że znów walczy. Ktoś widział go nawet rzekomo na statku płynącym do Haify. Chwytaliśmy się każdej pomyślniejszej wiadomości, łudząc się że może jednak uratował się jakimś cudem, że może go jednak zobaczymy.

Depesza PAT'a z Aten rozwiała ostatnie nadzieje. Lecz mimo to nie chce się wprost wierzyć, że nie ma już tego pogodnego pełnego jakiejś radości życia młodzieńca, tak zdolnego i rokującego nadzieję. Że nie ma tego prawdziwego Polaka, który przez jakąś ironię losu nosił tak pospolite rosyjskie nazwisko-Iwanow!

I jedyną pociechą w tej tragedii jest to, że w narodzie naszym jest wiele takich matek, jak matka Jerzego Iwanowa, które w atmosferze obcej, o tysiące mil od Polski potrafią wychować synów na dobrych obywateli kraju.

J. P.

ŹRÓDŁO ŻYWOTNOŚCI

(Dokończenie art. ze str. 1)

polityka dynastyczna odgrywała rolę dominującą, my zaś żyjemy w okresie, gdy świadomość narodów okrzepła i stała się rzeczywistością. Ale z tego nie wynika byśmy mieli zrywać z wielką ideą federacji wolnych narodów, którą Jagiellonowie głosili i realizowali. Nie wszystkie doktryny warte są utrzymywania ich przy życiu — ale to nie znaczy, by zrywać z tradycją i kanonami naszej racji stanu. Zawracanie do czasów feudalnych byłoby nonsensem. Poczucie odpowiedzialności za losy państwa tak się dziś upowszechniło, że przyszłość jego można budować jedynie na zbiorowym wysiłku wszystkich obywateli, przede wszystkim zaś na ludziach pracy, których obowiązkom winny odpowiadać szerokie uprawnienia. Ale pod tym względem do nikogo nie potrzebujemy „dostosowywać się", stawiając sobie za ambicję p r z o d o w a n i e Europie w doskonaleniu życia społecznego. Nawet okrzyczana Polska przedwrześniowa nie była pod tym względem tak bardzo zacofana w stosunku do ustawodawstwa społecznego na zachodzie.

Dbanie o postęp techniczny, gospodarczy i socjalny nie wymaga uzasadnienia. Ale postęp nie oznacza, — jak chce autor wywodów w „Nowej Polsce" — nieopatrznego zrywania z przeszłością, w sensie lekkomyślnego porzucania ciągłości historycznej. Polskę uformowały wieki, których nikt nie wymaże. Historia nasza nie urywa się w r. 1939. Nie rozpoczynamy też z tą chwilą wszystkiego od nowa. Utworzenie takiego, czy innego rządu, objęcie teki przez takiego lub innego ministra o niewczesnych pretensjach reformatorskich nie oznacza jeszcze, że z tą datą dzieje nasze wkraczają na jakieś całkiem nowe tory, że Polska staje się i n n y m krajem, a Polacy „n o w y m" narodem. Dzieje nasze wyznaczają ogólne niezmienne warunki geograficzne naszego kraju, trwałe nasze dążenia do życia w wolności na określonym obszarze, odwieczne pragnienie samodzielnego decydowania o swym losie. Duch naszych dziejów jest w istocie swej niezmienny i on stanowi treść naszych dążeń, zmagań i naszych walk. Zmieniają się tylko formy życia i walki.

Oszołomienie współczesnymi gigantycznymi wydarzeniami rewolucyjnymi, przewrotami i przemianami na skalę światową nie powinno prowadzić niektórych ludzi, aż do doradzania nam wyrzeczenia się naszego ja i bezkrytycznego dostosowania się do bliżej nieokreślonych „nowych" pojęć, których nowość i trwałość nie zostały jeszcze udowodnione. Zapytać bowiem należy, do czego dostosować się mamy w dziedzinie czysto duchowej? Kto lub jaka n o w a idea są dziś tak atrakcyjne, że warto byłoby dla nich zrezygnować oportunistycznie z własnej przeszłości i z własnego oblicza? Gdzie jest dziś w świecie ta n o w a moralna siła atrakcyjna, przemożna i nieskalana, świeża i niezepsuta cynizmem oraz zakiamaniem, której moglibyśmy poddać się bezwarunkowo wyrzekając się własnej postawy? Przyznajemy, że nowej takiej siły nie widzimy. Nie widzimy również niestety owej „solidarności świata", czy ludzkości, co tak nęci i fascynuje autora artykułu „Nowej Polski".

Nie czujemy się w dziedzinie duchowej gorsi od innych narodów. Stwierdzaliśmy nawet, że Polska reprezentuje dziś właściwości, które zjednywują jej nie tylko nowych przyjaciół, ale i nowych żołnierzy Rzeczypospolitej, wiążących się z nią dopiero dziś węzłami, które życia żądają i nieraz na śmierć prowadzą. Wartości te sprawiają również, że tak mało zdrajców rodzi się na ziemi naszej, a jeżeli są ochraniać ich muszą obce bagnety.

Jak narazie w zjednanych widzimy jedyne, ale jakże cenne — to świadczące o naszej ż y w o t n o ś c i — zdobycze, które osiągnęliśmy w tej okrutnej i krwawej wojnie. Uzyskaliśmy je jednak tylko dzięki temu, że uczyniliśmy z zagadnienia Polski, z jej wolności i z wolności ludzi, którzy żyją na jej obszarze, sprawę najtrudniejszą może w Europie, ale i najbardziej pasjonującą, która zniewala i zobowiązuje właśnie swą odrębnością, wyjątkowością, swym charakterem, tym, że nie zatraca się ona w szarzyznie bliżej nieokreślonej ludzkości.

Prowadzimy bezkompromisową walkę nie o to, by „dostosować się" do naszych sąsiadów, lub by „zespalać się z ludzkością". Członkami ludzkości w rozumieniu cywilizacyjnym jesteśmy bowiem, chwała Bogu, od tysiąca lat, od czasu gdy przyjęliśmy chrześcijaństwo. Walczymy o to, by w ramach ludzkości zachować odrębność naszego gatunku i naszej kultury. W ten tylko bowiem sposób możemy przedstawiać wartość dla siebie, dla innych i dla cywilizacji europejskiej, której jesteśmy współtwórcami.

Arp.

Ś. p. podchor. Mieczysław Stryk

Ś. † P.
MIECZYSŁAW STRYK
Podchorąży W. P.
Aplikant Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich
Uczestnik kampanii włoskiej
Odznaczony Krzyżem Walecznych
Zmarł dnia 18 grudnia 1944 r.
przeżywszy 32 lata
Batalion „Wilków"

Strzelec Mieczysław Stryk, z zawodu dziennikarz, aplikant Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich, przybył we wrześniu 1941 r. z pod koła polarnego do Tatiszczewa, gdzie otrzymał przydział do „Wilków". Wkrótce odkomenderowany do pierwszej Szkoły Podchorążych w Rosji, kończy ją w 1942 r. w czołowej lokacie. Po powrocie do pułku otrzymuje przydział do Ref. Kult. Ośw. „Kresowej", współredagując gazetkę ścienną oywizji „W Marszu".

Przybywszy do Iraku zostaje kronikarzem i korespondentem wojennym „Kresowej". Jego nowele z Rosji i barwne obrazy życia wojskowego na pustyni drukuje „Orzeł Biały", „Kurier Polski" w Bagdadzie i „Parada".

W listopadzie 1943 r. wraca do macierzystego oddziału liniowego. W Palestynie i Libanie odbywa przeszkolenie wojskowe, pisząc równocześnie do brygadowej „Sitwy" i wydając z kolegami biuletyn „Wilków" — „W marszu" przekształcony później na gazetkę codzienną, która dotychczas wychodzi.

Po przybyciu do Włoch uczestniczy w walkach na odcinku rzeki Sangro pod Monte San Croce, a następnie w szturmie na Monte Cassino, gdzie dnia 12.V.1944 r. zostaje ranny w jednym z przeciwuderzeń niemieckich na wzgórze Widmo. Wykazuje dużą odwagę osobistą oraz zalety dowódcze i zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych.

Cztery miesiące przebywa w szpitalu. Wraca potem do oddziału, ale wskutek wrzodu na dwunastnicy w październiku znowu opuszcza szeregi, aby poddać się dwum operacjom, jednej w listopadzie, drugiej w grudniu. Zdrowia już jednak nie odzyskał. Podczas Świąt Bożego Narodzenia przyszła do oddziału wiadomość o jego śmierci dnia 18 grudnia 1944 r., budząc głęboki żal wśród kolegów i wszystkich, którzy go znali. Polska straciła w nim prawego obywatela i dziennikarza-żołnierza, a „Wilki" wiernego druha.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Gdy rozpoczynała się bitwa o Monte Cassino*)

Na punktach obserwacyjnych Dywizji

Noc jest zupełnie ciemna. Księżyc jako jedna ze służb ma wzejść przy końcu ogólnego przygotowania artyleryjskiego, na krótko przed startem piechoty. Jest tak ciemno, że nie widać idącego poprzednika, tak ciemno, że nie widać taśmy, znaczącej ścieżkę na punkt obserwacyjny. A że ścieżka nieraz idzie nad stromizną, posuwamy się bardzo powoli, gęsiego, przy czym raz po raz przychodzą od czoła uprzedzenia: „Ostrożnie — na ziemi kabel... Uwaga! — drut idzie górą". Druty te porozpinali nasi łącznościowcy jak pająki, kiedy się idzie przez las i trzeba co raz zgarniać pajęczynę z twarzy.

W pewnym miejscu taśma idzie po sieci maskowniczej ciężkiej baterii. Wewnątrz stanowiska słychać przyciszony głos udzielający instrukcyj. „Ognisty lud" jak długie i szerokie te góry czuwa teraz z oczami wlepionymi w zegarki.

Bateria stoi za skłonem. Idziemy, wciąż trzymając się ścieżki i dysząc ciężko, pod górę, przechodzimy szczyt, schodzimy kilkanaście metrów na przeciwstok.

Pod nami — dolina Rapido, dalej — amfiteatr, którego rantów uczepiły się wszmuglowane nocami bataliony.

Tu jest punkt obserwacyjny dowódcy Dywizji, związany łącznością telefoniczną i radiową. Łączność jest w sąsiednim schronie. W schronach jest ciasno, więc roztasowujemy się na łączce.

Patrzę na fosforyzowane wskazówki, jak w sposób nieunikniony przybliżają się do godziny „H" t.zn. do godziny 23.

Niemiecka artyleria milczy. Milczy w sposób niezwykły — o tej porze zwykła grzmieć łaziki na skrzyżowaniach i ścieżki, na które już wyruszyły objuczone muły.

Czy coś szykują?

Płk O., dowódca artylerii dywizyjnej, szepcze mi (nie wiem czemu, mówimy wszyscy szeptem; nikt nie pali papierosa):

— Kiedy uderzy godziny 23, poczuję, że mi mały kamyk spada z serca.

Nerwy wszystkich są naprężone w oczekiwaniu, czy aby Niemcy nie uprzedzą nawały. Nasza artyleria na ten wypadek przygotowała ognie, ale stracilibyśmy szanse zaskoczenia.

— Kamyczek by spadł, ale tylko mały kamyczek... — dodaje dowódca artylerii.

Myślę o słowach umierającego płk. Jastrzębskiego.

Ale minuta za minutą wsiąka bezszelestnie w noc w absolutnej cichości. Niemal bowiem nie zauważamy — w tym napięciu, w tym oczekiwaniu — nękającego ognia naszej własnej artylerii, która „podtrzymuje pozory" i strzela jak zwykła zawsze o tej porze strzelać.

Tam, w dolinie Rapido, artylerzyści naszych dotąd nieujawniających się bateryj już zwalili podpiłowane za dnia oliwki, przesłaniające pole obstrzału.

Tam, w jarach górskich, już wychodzą pierwsze ścieżkowe patrole trasować ścieżki, po których ruszą kompanie, kiedy przygotowanie artyleryjskie się skończy.

Na punkcie obserwacyjnym Karpackiej, na punkcie obserwacyjnym Korpusu teraz tak samo, jak po wszystkich punktach obserwacyjnych artylerii, po bateriach, po pułkach, batalionach, kompaniach i szwadronach — oczy ludzkie szukają w ciemności tarcz zegarków.

Punkt obserwacyjny Korpusu mieści się na cyplu skalnym. Jest to obramowana skałami łączka, mająca z tyłu stromą skałę wysokości 150 metrów.

To z tego punktu obserwowało dowództwo amerykańskie rzeź i klęskę swoich oddziałów na 593.

— Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić — mówi dowódca łączności Korpusu — gdybym miał jeszcze tydzień czasu, to nie wiem, cobym mógł dodać. Mimo to — niepokoję się. Nic nie potrafię poradzić na granaty niemieckie, które mogą mi porwać wszystkie połączenia telefoniczne. Nie poradzę również nic na to, jeśli na naszych częstotliwościach radiowych będą siedzieli jednocześnie i Niemcy.

Obrachunek sumienia robi płk. O., robi płk. Z., robią w cichości ducha ci wszyscy, którzy przygotowywali bitwę. Gdzieś tam, u samego dołu tej machiny, drużynowi po raz nie wiem który przeliczają środki ogniowe, rozdzielone między ludźmi powtarzają te same ostrzeżenia: o taśmie, o nie zaleganiu, o nie zatrzymywaniu się przy rannych, o nie kupieniu się.

Co myśli ten, w którego ręku zbiegają się te nici?

Raz tylko — gen. Anders pochylił się, wspinając się na punkt, do swego zastępcy, gen. S. B.

— Słuchaj, przecie musi się udać!

— Przecie musi się udać!... — zaklinały tę noc tysiące serc.

Na pół godziny, dopiero na pół godziny przed atakiem, zerwana zostaje trwająca od dni całych cisza radiowa i rozpoczyna się zestrajanie sieci radiowych.

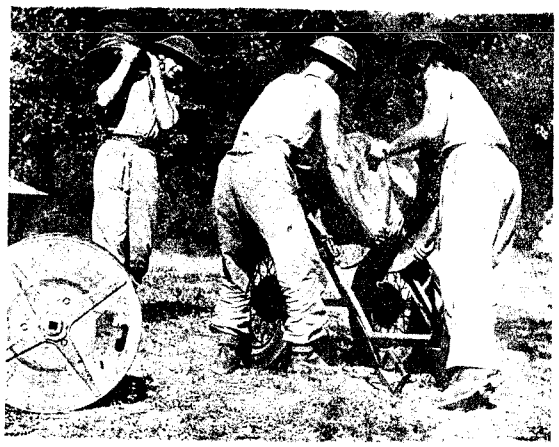

Fot: F. Maliniak

Przy zakładaniu sieci telefonicznej

— Filip, Karol, Urszula — dobiega z różnych stron — Filip, Karol, Urszula, podajcie siłę sygnałów, słucham ...

Ucho nasłuchuje niecierpliwie głosu radiotelegrafisty: „słyszę was dobrze" i doczekać się nie może; przecież pomiędzy radiostacjami są góry o wysokości do tysiąca metrów, przecież radiotelegrafistom nie wolno było wypróbować doboru częstotliwości.

Ucichli radiotelegrafiści, zestroiwszy się wreszcie i znowu zapanowała cisza.

— Za minutę — szepnął ktoś, poprawiając się w siedzeniu. I nagle wielkim grzmotem żygnęła z za przeciwskłonu ciężka bateria. Ochłonąwszy od pierwszego szoku, skonstatowaliśmy, że cała dolina, wszystkie góry naokoło niej wibrują nieustającym dźwiękiem.

Artyleria VIII armii, artyleria armii V, stanowiska od Aquafondaty do Morza Tyrreńskiego — zioną ogniem. W promieniu naszej obserwacji słuchowej gra tysiąc kilkaset dział. Nieznane prawa akustyczne przenoszą huki gdzieś aż z pod gór Arunzi, tłumią zupełnie odgłosy najbliższych bateryj, stojących tuż za załomkiem terenu, tak, że rozróżniamy je tylko po bezdźwięcznych błaskach. Jeśli są chochliki dźwięku, to dziwne korowody wyprawiają po tej zatłumionej górami obszernej dolinie, rwą pasma dźwięku, wskrzeszają je na nowo, konserwują dźwięk powstały długo, aż jego goniec — światło, dawno przebije czarny jedwab zasłony i zniknie; wówczas przynoszą w czarnych łapiętach dźwięk przed nasze nogi i dźwięk pęka jak kasztan. W górach — powstają jakieś hurgotania, szurgoty, przelewanie się dźwięków, nadto wezbranych jak woda z kotliny w kotlinę, posuw dźwiękowy wąwozami i drobny werbel w niebie i głuchy szmer na ziemi i staccata dział ciężkich, przedzierających się jak dostojnicy przez plebs pohukiwań moździerzowych.

Ucho przywyka nader prędko do tej nieustającej wibracji dźwięku i już tylko oko nadążyć nie może dzikim sceneriom świetlnym.

Mówi się, że przeszedł czas kolorowych kirasjerów, lejbgwardzistów, pióropuszy, pancerzy pozłocistych, że tromtadracja wojny wsiąkła w okop, przywarła do niego zielonkawym mundurem.

Ależ przecie ci pirotechnicy, którzy fabrykowali amunicję, musieli być potrochu następcami epoki starożytności, palącej ogniami greckimi wrogie galery we wspaniałej feerii na falach opalizującego morza, ci histrioni wojny musieli się zapatrzyć w przodków średniowiecza, majstrujących niesamowite beluardy, miotające grzywiaste ognie.

Ot, z lewa doliny podnosi się sznur pocisków przeciwlotniczych. Pelotki wskazują cele. Wysyłają w powietrze wielkie pomarańczowe kule, przesuwające się wolno i majestatycznie jedna za drugą, jak ryby głębinowe. Jest coś aż śmiesznego w tej bufonadzie flegmatycznych świateł, promenujących nad ziemią, złapaną w konwulsje.

Od strony Niemców — błysnęło krwawo:

Raz, dwa ...

Raz, dwa, trzy ...

Osiem, dziesięć, dwanaście, szesnaście — krwawych, złych, gniewnych rakiet.

Pomarańczowe wolne lampiony idą coraz wyższymi łukami; przenoszą cele natarcia.

Flara wystrzelona ze spadochronem z Klasztoru zawisła w czarności. Spada tak wolno, że sprawia wrażenie światła stojącego nieruchomo w powietrzu. Klasztor zapala drugą, nim pierwsza zgaśnie, jak zwykł robić człowiek, który się boi ciemności.

W miarę trwania kanonady narasta pułap dymu; dym ten stoi pod nami — dolina Liri i na górach Armozi z tamtej strony doliny, którymi idą Francuzi.

Na górach tych wieniec rozprysków francuskich rozbłyskuje najprzód przed stokiem, potem na stoku, potem poza stokiem. Widać — posuwają się?

Jest 23 minut 40. Czas przeznaczony na zwalczenie stanowisk artylerii nieprzyjaciela minął. W rejonie Monte Cassina z jednej, w rejonie Biaggio z drugiej strony wysadziliśmy jakieś składy amunicji. Luna od strony Biaggio stoi na pół nieba.

Widz wraca do rzeczywistości. To nie feeria — to wydzieranie zwycięstwa. Niech wyskoczy temu niemieckiemu ścierwu cała amunicja! Niech nie mają czym strzelać! Niech czołgają się, koziołkują ze skłonów, uciekając w dzikim popłochu! Ogniu i huku! — patronuj piechurowi, czyść przed nim drogę, niech nietknięty idzie przez zapaści.

Bo wiemy — oto teraz niektóre wysunięte części trzeciego baonu, niektóre wysunięte plutony pułku ułanów, wżarte tam, kędy tych przed nimi spotkała zguba, śmierć bezsilna — cofają się cicho ze skłonu, aby dać artylerii własnej obronić bliskie cele.

Tam, gdzie siedemdziesiąt yardów od siebie tkwili — cofną się. Bij ogniu! Szarpcie rozprysk! Przeorz ziemi artylerio, utrabbujcie w krwawą miazgę plac moździerze — dla zwycięstwa!

Artyleria niemiecka przychodzi do głosu — wezwały ją te czerwone rakiety. Moździerze ich, sfora czujna, orzą dolinę. Błyski po niej wyskakują od rozprysków. Gdzie błysk — tam chwyt zębami.

Godzina 1. Piechota rusza. Meldunek o wyruszeniu natarcia nadany z baonu o godzinie 01, 01, przeszedłszy stacje pośrednie Brygady, Dywizji, Korpusu, otrzymała VIII armia o 01, 03—w dwie minuty później.

Rozpoczyna się natarcie, które kod VIII armii nazwał „Honker" — krzyk dzikich gęsi, kiedy wracają do kraju.

Główne wzgórze, 575, które mamy zdobyć, Anglicy w kodzie nazwali — Szopen.

Czy dając nazwę natarciu — nie myśleli o żołnierzu, który z pod Koła Podbiegunowego, z pustyń Irackich, Syryjskich, Libijskich — idzie do Kraju?...

Na punkcie dowodzenia Dywizji

Z chwilą, kiedy rozpoczęło się natarcie, postanawiam pójść na punkt dowodzenia — w tym schronie przy dowództwie Dywizji.

Wracam sam. Trzeba wprzód osiągnąć szczyt. Tuż nad nim idzie fala pocisków od baterii na przeciwskłonie, strzelających przez szczyt. W powietrzu nad głową słychać jakby rwący potok. Przypomina mi się, jak przechodziłem pod wodospadem Niagary między skałą a spadającą wodą. Jest nieprzyjemnie z każdym krokiem podnosić się wyżej — lecić głową w ten potok stali rwącej nad ziemią.

Szczyt przebywam — na wszelki wypadek — przygarbiony i zastanawiam się, czy bardzo by się ze mnie śmieli fachmani, czy może przyznaliby rację. Pytałem potem i otrzymałem odpowiedź — jak zwykle od fachmanów: jedno, że mogłem oberwać, a inni, że mógłbym przejechać przełęcz jak Hannibal — na słoniu.

Bóg z nimi, bo teraz począłem mieć inne zmartwienie: działa za przeciwskłonem poczęły na mnie strasznie błyskać i dmuchać. Idę wzdłuż taśmy i pamiętam, że muszę wleźć prosto na lufę strzelającego ciężkiego działa. Cieszę się, napotykając dwie figury ludzkie. To major angielski, będący oficerem łącznikowym przy dywizji i szef sztabu; wyszedł z punktu dowodzenia w dole, gdzie jest jego królestwo, popatrzeć na tę noc Walpurgii.

Idziemy w dół — na strzelające działa. Ostatnie kroki przed baterią i ostatnie jej salwy przebyłem, pochylając korpus wprzód zatykając uszy i otwierając usta, żeby mi bębenki nie potrzaskały...

W punkcie dowodzenia uwija się dwóch „zbójców" — kapitanowie Ż. i P. Mówią, że Karpacka też już ruszyła, że natarcie francuskie (Francuzi przyjęli inną taktykę — ruszyli równocześnie z nawałą, więc dwie godziny przed nami) idzie bez oporu, że dwie brygady angielskie przekroczyły rzekę, że straty mają małe, że mosty są w porządku.

Pokój dowodzenia jest mały. Na zewnątrz obłożony workami. Wchodzi się przez warstwę koców. Kilka aparatów radiowych i telefonicznych. Ma się wrażenie, że się leży gdzieś na dnie oceanu.

Na zewnątrz szaleje śmierć, zniszczenie, spiętrzenie maksymalnego wysiłku, wiry stali. Tu — przychodzą wiadomości blade, zmatowane, jakby przy łumione przez ten wojłok u wejścia, przez te worki z piaskiem.

*) Z książki o Monte Cassino.

PRZED WYBUCHEM *)

Po szerokim gościńcu, idącym wzdłuż lewego brzegu Wisły od Warszawy do Modlina, pędziła pocztowa bryczka z dwoma podróżnymi. W dali czerniała ściana dużego boru. Pomimo widocznego zmęczenia koni woźnica raz po raz zacinał je batem, nagląc do pośpiechu. Wreszcie bryczka zagłębiła się w las, konie po błocistej drodze zwolniły biegu; westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich. Woźnica uśmiechnięty odwrócił się do swych panów.

— Udało się! — mówił — można szkapiskom dać trochę wytchnąć; przed nocą staniemy w obozie.

Był to Padlewski ze swym adiutantem Seyfriedem, których do obozu w puszczy kampinowskiej odstawiał pocztylion, należący do organizacji. Dopóki podróżni nie dostali się do lasu, byli wciąż zdani na łaskę i niełaskę patroli kozackich, włóczących się po okolicy. Przed wyjazdem z Warszawy kilkakrotnie zatrzymywały ich patrole; badano ich, rozpytywano: po co, na co jadą, jakie mają dokumenty? Ciągle byli o włos od aresztowania, jechali cały czas z perspektywą spędzenia nocy nie w obozie powstańczym, dokąd zmierzali, lecz w więzieniu, którego unikanie stanowiło sztukę życia rewolucyjnego.

Znowu Padlewski czuł przed sobą ten dziwny, chwiejny i niepewny grunt, na którym niesposób czynić zimnych obrachowań i spokojnych planów. Znów na każdym kroku czuł niejako oddech wroga, z którym miał wojować, znów był w zupełności w sferze jego działania. Przypomniał sobie dowódców wojsk na manewrach — tych próbach wojny. Pamiętał ich, otoczonych licznym sztabem, osłoniętych oddziałem jazdy, pomimo, że byli od nieprzyjaciela oddzieleni jeszcze murem bagnetów własnych, tysiącami piersi żołnierskich, idących do boju. Tu on, wódz, nie miał nic podobnego, tu wróg zewsząd go otaczał, nieledwie dotykał go fizycznie.

A zarazem, gdy jechał ulicami Warszawy i polami Mazowsza, spotykając człowieka, nieodzianego w mundur wroga, myślał o nim, jako jutrzejszym towarzyszu broni, który go, jak swego wodza, będzie bronił i osłaniał. Tylko dzisiaj jeszcze brak ujawnionej zbrojnej siły stawiał początki działań ciągle pod znakiem zapytania, przewracając całkowicie wszystkie znane pojęcia o wojnie. Więc prędzej do obozu! Prędzej tam, gdzie pod sobą ma się trwały, niezdradliwy grunt siły zbrojnej pod nogami. Niech ta siła będzie mała, niech będzie źle uzbrojona, z nią jednak jawnie się walczy, choćby umierać przyszło!...

Z daleka poprzez drzewa błyskały rozpalone suto ogniska. Na polanie do pięciuset ludzi skupiało się koło ognia, przygotowując się do noclegu pod chmurnym niebem styczniowym. Ludzie gwarzyli. Koło niejednego ogniska panowało zniechęcenie. Zmęczeni, zziębnięci wylewali swą gorycz i niezadowolenie na władzę rewolucyjną, szukając w niej winy.

— Obiecywano broń, obiecywano wodzów, zwycięstwa — gdzie to jest wszystko? Sami tam wygrzewają się w ciepłych pokojach, śpią na puchach, a ty, człecze, tulaj się, jak wilk, po lesie, śpij na gołej, zimnej ziemi, ba, nie miej często kawałka chleba marnego....

Szeptano o zdradzie władzy, zmawiano się do ucieczki, bąkano o oddaniu się w ręce wrogom, byle móc się wywczasować i najeść do syta.

Gdzie indziej młodzież wesoło się bawiła, zapominając przy żartach i dowcipach o wszelkich niewygodach, i bawiąc się nawet tą zimową majówką w wiecznie zielonym lesie. Humor podtrzymywał wiarę i snuto przy trzasku palącego się drzewa rojenia równie fantastyczne, jak te płomyki, przeskakujące w ognisku wesoło od trzaski do trzaski.

Domek zesłanego powstańca w Kudai na Syberii (Rysunek więźnia)

O nieprzyjacielu nie myślał nikt, ani ci, którym było wesoło, ani ci, których dręczył smutek. Nie było to wojsko, co, znając zdradliwe prawa wojny, czujnymi się otacza czatami, co mechanicznie, jak zegarek, spełnia swą powinność. Nie było tam oficerów i podoficerów przełamujących zmęczenie żołnierza, zmuszających do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i niemiłej. Nie było tam ładu i porządku, wciskającego każdego na swoje miejsce, jak niewielki trybik czy sztyfcik do sprawnej maszyny. Każdy robił, co chiał i jak chciał, nie dbając o innych. Nie było żadnej myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia.

To też, gdy Padlewski niespodziewanie zjawił się wśród tego towarzystwa — wojskiem tego nazwać nie można było — musiał podjąć ciężką i trudną pracę, by nadać tej zbieraninie chociażby pozory wojska i nauczyć ją najelementarniejszych form bytowania wojennego. Musiał wraz ze swym adiutantem być naraz i wodzem, i sztabowym oficerem, i podoficerem nawet.

Ks. Mackiewicz

Zapowiedział wymarsz na dzień następny. Wiedział, że z różnych stron dążyć będą jutro oddziały nieprzyjacielskie, by wyłapać poborowych zebranych w lesie. Wiedział też, że nie mógłby stawiać oporu natarciu z tym wojskiem zaimprowizowanym, w dodatku licho uzbrojonym: na pięciuset zebranych było zaledwie kilka sztuk broni palnej marnego gatunku, reszta była uzbrojona w kosy lub — gorzki śmiech zbiera — pałki i drągi. Postanowił więc szybkim marszem przerzucić się za Wisłę, dążąc do złączenia swego oddziału z innymi w województwie płockim, które obrano za główną podstawę dalszych działań wojennych.

Gdy nazajutrz kolumna oddziału wymaszerowała wylotem na północny zachód ku Secyminowi nad Wisłą, z różnych stron dążyło już wojsko nieprzyjacielskie obławą na lasy kampinowskie. Więc z Warszawy wyszedł podpułkownik Bremasen z kilku kompaniami piechoty i sotniami kozaków, więc z Płocka wyruszył major Sławin na czele paruset kozaków, a wreszcie po drugim brzegu Wisły maszerował, rozsypując wszędzie patrole, oddział jazdy pod pułkownikiem Riedieczkinem.

Nie była to właściwie wyprawa wojenna; jako taka nie miała prawie sensu. Chcieć bowiem, aby tysiąc kilkuset ludzi, z których połowa piesza, zamknęło szczelnie oczka olbrzymiej sieci, ogarniającej 300 kilometrów kwadratowych, i jeszcze dostarczyło dostatecznie silnej kolumny na bój przy spotkaniu z nieprzyjacielem — było to żądać od wojska roboty, graniczącej z niepodobieństwem. Tym bardziej, że konnica, służyć mająca do szybkiej posługi wywiadowczej, mało była przydatna wobec lesisto-błotnistego terenu, który przeszukać należało. Zresztą nie było jeszcze wojny. Było drobne zamieszanie i wojsko miało tu wyręczyć właściwie nieliczną i niesprawną policję — nic więcej.

To też oficerowie, którym zadanie poruczono, nie przyjęli go z zadowoleniem. Pomimo woli przychodziła im do głowy możność oporu, a na wypadek walki byli za słabi i ta włóczęga po lasach, w przypuszczeniu, że zwierz osaczony nie ruszy z miejsca, że będzie czekał, nim go z bliska osaczą, nie uśmiechała im się wcale. Przy jakiej takiej ruchliwości osaczonego uderzenie paść mogło w próżnię i wynik obławy nie rokował powodzenia.

Lecz pan każe, sługa musi. Nie wojskowe, ale cywilne władze, na których czele stał sam brat cesarza, tak były pewne swego, tak liczyły na łatwy i pewny triumf, że nawet, dla uniknięcia rozlewu krwi i związanego z tym rozgłosu, nakazały wojsku iść na te łowy bez nabitej broni, chwytać osaczonego zwierza gołymi rękami, by tym bardziej go upokorzyć, tym większy wznieść w nim szacunek dla siły władzy prawowitej. Pan każe, sługa musi! I po błotnistych leśnych drogach wlokły się kolumny wojska, rozsyłając leniwie patrole, gdy zwierz, na którego polowano, wiedząc o obławie, już się zbliżał do Wisły, za którą zaczynała się przestrzeń, wolna od założonej sieci. Jeżeli co było przeszkodą, to nie pomyślana niedołężnie i niespiesznie wykonaną obława, lecz przeszkody fizyczne w postaci Wisły samej.

Wisła jeszcze nie puściła, lecz lód wobec ciepłej pogody był słaby i trzeszczał pod nogami. Pierwsi, którzy na rzekę weszli, cofnęli się z przestrachem. Lecz Padlewski w obozie uzyskał już swą energię i zdołał zapanować nad oddziałem. Dzięki niemu przeprawa pod Secyminem odbyła się bez wypadku. Szła wolno, drobnymi grupami, trwała całą noc nieledwie, lecz została dokonana i gdy wreszcie obława, idąc śladami, doszła do Secymina, Padlewskiego i jego oddziału już nie było tutaj; zdążył już bowiem ujść dobry kawał drogi, z każdą chwilą oddalając się od niezręcznych łowców. W sieciach pozostali tylko ci, co tego chcieli: ci, których zniechęcenie i zmęczenie nie minęło pod wpływem zjawienia się Padlewskiego. Takich było niewielu — zaledwie dziewiętnastu na 500, którzy byli w składzie oddziału.

Tak samo wypadły łowy, zorganizowane przez władzę cywilną w innej puszczy — serockiej koło Zegrza.

Popisowi z Warszawy, którzy się tam zgromadzili, przeszli przez Narew i Wkrę, a uniknąwszy niezręcznie nastawionej sieci, dążyli, jak i Padlewski, do województwa płockiego. Jeżeli zaś dodamy, że i z samego Płocka wyszło kilkuset ludzi, słusznie podejrzewających, że są na liście konskrypcyjnej rządu, zobaczymy, że w okolicach Płocka nagromadziła się w ten sposób większa ilość materiału palnego, zdatnego i przysposobianego do wstępnych kroków, do wstępnego boju powstania.

Powstanie Sty

PODO

niektórych pieczęci

Rysunek znaków wodn

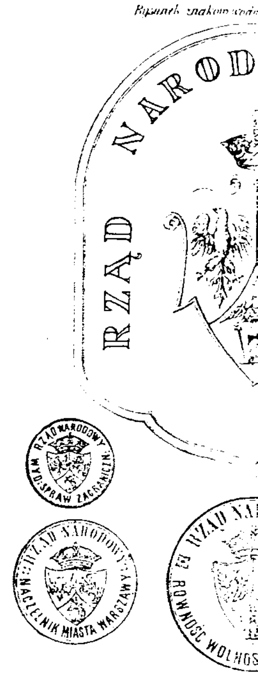

POLSKO-LITEWSKIE BRATERSTWO B

Powstanie listopadowe obudziło wrzawę polskiej lutni. Struny jej, dotykane palcami genialnych poetów, rozbrzmiewały miłością Ojczyzny. Poezja jako bóstwo ożywiające wstąpiła pośród niewolników i podniosła serca ze zwątpienia; w słabych wskrzesiła siłę, a wiarą w posłannictwo idei polskiej, jak Mojżesz niegdyś Żydów w egipskiej niewoli, usposobiła Polaków do wielkich przeznaczeń. Niewola mikołajewska jest czasem poetów.

Po upadku powstania styczniowego lutnie zamilkły lub dźwięczą słabymi tonami. Rzeczywistość, wyższa i dramatyczniejsza niż w Szekspira utworach, wstrzymała lot poetów. Gdy myśli stają się czynami, obraz je tylko uwiecznić może, jakoż widzimy w obecnej klęsce paletę i pędzel na horyzoncie polskiej sztuki, odtwarzające idee narodowe.

Artur Grottger, jeden z tych malarzy, który najmocniej przejął się nimi, rysując obrazy powstania litewskiego, poprzedził je widokiem wiekowego lasu, pełnego oddechu świeżego puszcz, z widmem zniszczenia, otulonym w całuny, unoszącym się pomiędzy drzewami. Patrząc na ten obraz staje nam w pamięci przypomnienie strasznego spustoszenia i bolesnego wynędznienia, jakiego dokonano w ziemi Jagiellonów dla utrzymania niewoli carskiej; staje nam w pamięci ta ziemia poetów i wodzów, Mickiewicza i Kościuszki, w zapasach z Murawiewem, z Kaufmanem, z Katkowem i z całą czeredą moskiewskich działaczy będących ohydą ludzkości; staje nam w pamięci Litwa wydziedziczana z mowy, z wiary i z własności w imię patriotyzmu rosyjskiego.

Nieszczęścia Litwy robią ją trzykroć droższą dla serca polskiego. Im większe prześladowanie, tym przenikliwsza miłość; im gwałtowniejsze targanie, tym bardziej pożądane węzły, które przed wiekami mądrość ojców zadzierzgnęła pomiędzy dwoma narodami. Zniszczenie jak dziewica zarazy przebiega sioła i miasta litewskie lecz nie dotknie cnót, które wróg zbrodnia-

Na stracenie — (Obraz

…czniowe 1863 r.

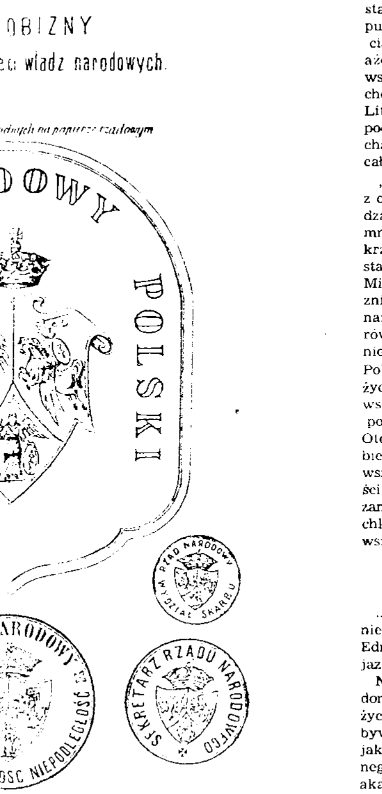

Materiał ten, co prawda, znajdował się w strasznym chaosie; grupy bez organizacji wojennej, bez administracji, przygotowanego prowiantu, odzienia i, co główna, broni. Najpilniejszą więc pracą władzy powstańczej, a w pierwszym rzędzie Padlewskiego, było jakie takie zorganizowanie grup i rozmieszczenie ich w okolicy do wyznaczonego terminu wybuchu — do 22 stycznia.

*) Z „22 stycznia 1863"—Józef Piłsudski

…BRONI W 1863 r. *)

…mi i intrygami nazywa, a do których należy jedność Korony i Litwy, to największe dzieło dawnej Polski. Jedność ta stała się warunkiem wolności, zasadą narodowości i przykazaniem Bożym w sercu polskim. Dla jej utrzymania Litwa i Ruś nie zlękły się ognia i rzezi i powstały, złożywszy najkosztowniejszą ofiarę krwi i mienia przed ołtarzem ślubowania jedności z Koroną. Nie było nadziei zwycięstwa, przewodnicy Litwy, którzy dali hasło do powstania, oświadczyli przez dwukrotne deputacje rządowi tymczasowemu, że chociaż przewidują klęskę, podniosą broń, ażeby jak dawniej dola, tak teraz niedola wspólna była z resztą ziem polskich. A chociaż krzywdy zadane przez Moskali Litwie i Rusi, dostatecznie tłumaczą pochwycenie za oręż, jednakże ofiarny charakter tego powstania dla jedności i całości Polski zaprzeczyć się nie da.

„Ludu Litwy i Rusi!" — mówi odezwa z dn. 19 (31) marca 1863 r. Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy — wspomnij na twoje pohańbienie, na wiekową krzywdę twoją; wróg odjął ci wszystko, co stanowi moralne i materialne dobro kraju. Miasta twoje, tak niegdyś kwitnące, zniszczone; rolnictwo i handel w upadku; narodowe fundusze stały się łupem zbirów moskiewskich. Lecz dziki najeźdźca nie przestał na tym; oderwawszy cię od Polski, z którąś zespolony pięciowiekowym życiem, wspólną chwałą i szczęściem, jak wspólną niedolą, on wszystkie prawa twoje pogwałcił, wszystkie zniszczył swobody. Oto wiek już ubiega, jak usiłuje zabić w tobie wiarę i mowę twych ojców i światło wszelkie zagasić. Kościoły twoje zbeszcześcił lub w gruzy zamienił, szkoły twe zamknął, nawet wszechnicę Batorych, twą chlubę przed światem. On ci wydarł wszystko, co treścią jest życia narodów; zbrodnią on nawet twe cnoty mianuje, a miłość Ojczyzny, najświętsze uczucie, Sybirem i knutem karze. Ludu Litwy i Rusi! Przypatrz się i poznaj, kto cię skrępował. Taż sama carowa Katarzyna, która Ojczyznę twoją w kawały rozdarła, rozciągnęła do ciebie mongolską ustawę cara Godunowa i zakuła cię w kajdany. Od jej czasów datuje się pierwszy opis ludności twojej, i pierwszy pogłówny podatek, i pierwszy rekrut. A kiedy starsi bracia twoi, wierni tradycji i zaprzysiężonej przez ojców konstytucji 3 maja, żądali cię rozkuć, kto zamykał sale ich obrad, a obrońców twoich w głąb Sybiru wywoził? — Carowie moskiewscy. Przed kilku laty, ciż bracia twoi znowu wolności twojej się domagali. Kto w miejsce wolności zmienił tylko formę niewoli, dając ci gminę moskiewską, tak obcą twoim obyczajom, tak dla ciebie nienawistną? Kto obdarzając cię pozornie wolnością, odmówił ci najważniejszej wolności wyznania i za wiarę twych ojców mordował cię i katował? — Car Moskwy. Tam za Niemnem, śród krwawych z twym wrogiem utarczek, wzniósł się rząd polski. On ci daje na własność tę ziemię, na której ty żyłeś i twoi ojcowie i jak ci obiecał przed laty, czyni cię obywatelem kraju, wolnym, szlachetnym człowiekiem. A rząd najezdniczy rzezią i pożogą mści się nad ludem zrywającym swe pęta. Dzikie hordy jego, pierzchające na widok polskich rycerzy, mordują niewiasty i dzieci, pustoszą miasta, wsie i dwory. Satrapy jego usiłują poważnić synów jednej ziemi, głoszą odezwy pełne fałszów i jadu i ślą tajnych agentów, by pobudzić do zbrodnia Kaina. Rodacy wszystkich wyznań i stanów, bracia Litwy i Rusi! Czyż wobec bohaterskiej walki za Niemnem, w której najszlachetniejsza krew polska obfitym płynie strumieniem, będziemy dalej sromotnie kark zginać pod haniebne jarzmo niewoli moskiewskiej?".

Na to wezwanie podniosła się Litwa cała, bo nawet za Dnieprem, w Województwie Mścisławskim, okazali się powstańcy. Włościanie bez oświaty i tym razem nie zrozumieli hasła boju, bory jednak litewskie pełne były zbrojnych ochotników. W kraju ubogim, zapchanym najezdniczym wojskiem, którego liczba najśmielszych przeraża, bez dobrej broni i żywności, powstańcy litewscy złożyli niepospolite dowody męstwa i wytrwałości. Z jakimi trudnościami mieli do czynienia, wiemy już z opisu grodzieńskiego powstania, z owych marszów Wróblewskiego po puszczy białowieskiej, tych „ogrodów Gedymina", gdzie wilczym nawoływaniem szukali siebie rozproszeni obrońcy wolności. Również ciekawa jest historia oddziałów mińskich, wileńskich, mianowicie Narbutta, lecz najważniejszą jest historia powstania na Żmudzi, gdzie chłopi dowodzili partiami, gdzie się wsławił ks. Mackiewicz, gdzie wzorowe leśne bitwy staczał Dłuski-Jabłonowski, gdzie się odznaczył wytrwałością Laskowski i gdzie wreszcie jak meteor błysnął Zygmunt Sierakowski, mąż nadziei Litwy i Korony. *Agaton Giller.*

*) Z t. II „Historii powstania narodu polskiego w 1861 - 1864 r." (Paryż 1868).

KAWALERIA POD SALICHĄ *)

...na Wołyniu wystąpiło do boju kilka niewielkich oddziałów, a dużą sławę zyskał Edmund Rózycki, syn głośnego dowódcy jazdy wołyńskiej w r. 1831.

Na rozkaz carski porwany on został z domu swych opiekunów w 12. roku życia i oddany do korpusu kadetów. Przebywał później na Kaukazie, przydzielony, jako oficer wybitnych zdolności, do głównego sztabu, następnie ukończył chlubnie akademię wojskową w Petersburgu i otrzymał stopień kapitana. Ale Rózycki, acz od dzieciństwa przebywał w obcym otoczeniu, był szczerym patriotą i nie myślał szukać w wojsku carskim kariery. Wziął więc dymisję i zamieszkał w Żytomierzu. Gdy w Kongresówce rozpoczęło się powstanie, Różycki, mianowany generałem, zorganizował własny oddział, a nie mogąc doczekać się zapowiedzianego wkroczenia Wysockiego na czele sił znaczniejszych, postanowił przedrzeć się na Podole i zachęcić je do walki. Siły Różyckiego wynosiły 280 ludzi, przeważnie jazdy, niezgorzej uzbrojonej i wyćwiczonej jako tako. Po drodze stoczył on szczęśliwą bitwę pod Worobiówką w pow. zwiahelskim i pod Laszkami w okolicach Zasławia, a dn. 26 maja zaatakowany został pod Salichą.

Moskale prowadzili do boju 3 roty piechoty i 120 kozaków, a więc byli niemal trzy razy silniejsi, niż cały oddział Ró-

Zygmunt Sierakowski

życkiego. Pomimo to z wielką postępowali ostrożnością. Wyszedłszy poza wieś, wysunęli łańcuch tyralierów, na lewym skrzydle ustawili kozaków, a na prawym zaczęli formować czworobok piechoty. Ale Rożycki nie czekał, aż uformuje się nieprzyjaciel, lecz rzucił do ataku 120 jeźdźców, którzy mimo ognia tyralierów i rotowych salw piechoty, w największym pędzie uderzyli na jeżącą się bagnetami ścianę czworoboku. Kozacy na sam widok jazdy polskiej, sunącej śmiało ku regularnej piechocie, rzucili się do lasu i haniebnie zemknęli z placu boju, a piechota nie wytrzymała szalonego natarcia. Tratowana kopytami koni, rąbana szablami, kłuta lancami, wreszcie ogarnięta paniką na widok nowego oddziału jazdy, pędzącego swoim na pomoc, zasłała gęstym trupem plac boju i rzuciła się do ucieczki Pogrom był zupełny. 200 żołnierzy i 3 oficerów stracili Rosjanie, gdy ze strony polskiej padło zaledwie 12 zabitych i 21 rannych.

Zwycięstwo pod Salichą wskrzesiło sławę jazdy polskiej i było może najpiękniejszym zwycięstwem, jakie powstańcy przez cały czas walki odnieśli.

Niestety, zwycięstwo to nie ułatwiło Różyckiemu sytuacji. Osaczony ze wszystkich stron przez przeważające wielokrotnie siły rosyjskie, nie widział możności dalszego prowadzenia wojny bez nowych posiłków. A w tym czasie otrzymał właśnie wiadomość, że Wysocki, na którego liczył, posiłków nie przyśle. Wobec tego zdecydował się schronić na terytorium austriackie i już dn. 28 maja wkroczył pod Pałczyńcami do Galicji.

W taki sposób zakończyło się powstanie na Rusi. *Artur Sliwiński.*

*) Z „Powstania styczniowego" (Warszawa 1921).

…raz Franciszka Streita)

„MUSI SIĘ STAĆ SAMO MŁYŃSKIM KAMIENIEM" *)

— Szczęść ci Boże, panienko! Daj ci wszystko dobrze.

Panna Salomea chciała podziękować za to życzenie, lecz nie wiedziała jak. Słowa w gardle uwięzły. Podniosła na tego człowieka oczy nieulękłe i surowe.

— A co? — zapytał.

— Ja tu sama! — wyszlochała. — Ojciec był parę dni temu i poszedł znowu!

— Taki los.

— Taki los! A kto go zrobił?

— Kto zrobił?

— Pan!

Spojrzał na nią z uwagą i ze spokojem. Czuła, że popełniła nie tylko ogromny nietakt, lecz i okrucieństwo. Nie wiedząc, dlaczego i co czyni, zsunęła się z krzesła na ziemię i znalazła u jego kolan. Chciał ją podnieść, lecz chwyciła go za ręce i zajrzała w samą głąb oczu.

— Panie! — krzyknęła.

— Słucham!

— Co wy robicie.

— A co?

— To powstanie!

— Powstanie.

— Niech mi pan wytłomaczy ze swego rozumu i z głębokiego sumienia. Ja jestem prosta i głupia... Nic nie mogę pojąć!

—Wszystko powiem, wszystko, co wiem.

— Z sumienia swego?

— Z sumienia.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że prawdę usłyszy. Rzuciła mu w oczy z krzykiem:

— Któż z was ośmieli się mówić, że pobije tych, co tu nocami przychodzą szarpać nas, ludzi bezbronnych? A jeżeli ich nie możecie pobić, to kto z was ośmielił się rozpętać w nich dzicz, co ją ze sobą z okrutnych śniegów w duszach przynieśli? Czy macie w sobie siłę, równą ich dziczy i taką, żeby tamto złe zgniotła?

Olbromski milczał. Łkając oskarżała:

— Sołdactwo pali dwory — rannych dobijają na placu bitwy. Chłopi wiążą powstańców...

Przerwał jej głosem innym, twardym:

— Wolicie ich dzicz, niż rany i śmierć? Będziecie mieli dzicz za wiecznego pana!

— I tak go mamy, choć tyle ran...

— Polskie plemię popadło między dwa młyńskie koła zagłady — między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Nie ma wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tym słowo.

— Jaką mieć wiarę? Czym żyć?

— Serce mężne uzbrój w sobie.

— I cóż z serca mężnego! — jęknęła z rozpaczą.

— Nie czas już pytać i odpowiadać.

Zbadawszy budynki, ścieżki i zarośla dokoła domu, wrócił do stancyi młodszy z przyjezdnych. Panna Salomea wyszła niezwłocznie. Dwaj urzędnicy rozebrali się i, broń nabitą mając przy wezgłowiu, udali się na spoczynek.

*) Z „Wiernej Rzeki" *Stefan Żeromski*

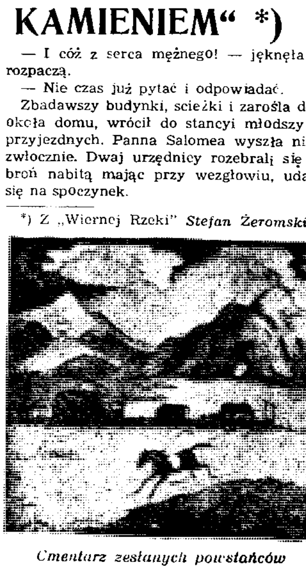

Cmentarz zesłanych powstańców

SCRUTATOR

Sprawy polskie w książkach angielskich

Hitler i Mussolini także chcieli „niepodległej" Polski

Sumner Welles, wybitny dyplomata amerykański, w latach 1937-1943 podsekretarz stanu (wiceminister spraw zagranicznych), ogłosił książkę „The Time for Decision" *), w której rozważa wszystkie aktualne zagadnienia międzynarodowe. Wychodzi on z założenia, że trzy zasadnicze błędy polityki sprzymierzonych spowodowały wybuch drugiej wojny: braki organizacji Ligi Narodów, niekonsekwentne postępowanie z Niemcami, nieuwzględnienie Rosji w rachubach na przyszłość. Tak np. przy odbudowie Polski i tworzeniu nowych państw w Europie wschodniej i północno-wschodniej nie liczono się z faktem, że „największy i najpotężniejszy naród w Europie" powróci kiedyś do głosu w sprawach międzynarodowych i że zażąda „by prawa jego były szanowane". Traktat wersalski stworzył w Europie szereg nowych państw, a to musiało doprowadzić do „nacjonalistycznego fermentu". Nadto nie uwzględniano twardych nakazów rzeczywistości. Tak np. Polacy w niedostatecznym stopniu zdawali sobie sprawę, że musi upłynąć wiele czasu zanim trzy części Polski, które przez sto pięćdziesiąt lat znajdowały się pod wpływem różnych systemów rządzenia i różnych kultur, zleją się w jedno i że zanim to nastąpi, trzeba będzie wielu ofiar ze strony wszystkich Polaków. Nowe państwo polskie obciążone zostało od samego początku zagadnieniem mniejszości narodowych oraz poważnymi zagadnieniami gospodarczymi. Rosja przedstawiała wielką niewiadomą, a „korytarz" musiał stać się źródłem ustawicznych tarć z Niemcami. Podkreślając, że Polsce należał się dostęp do morza, Sumner Welles wyznaje, że nie rozumie, jakim sposobem twórcy traktatu mogli przypuszczać, że korytarz stanowić będzie trwałe rozwiązanie tego zagadnienia. Rozwój wypadków w okresie powersalskim przedstawia Sumner Welles w telegraficznych skrótach. Potępia zagarnięcie przez rząd polski, „z poduszczenia płk. Becka" Cieszyna w chwili „męczeństwa Czechosłowacji". Podnosi, że Polska nie ulękła się pogróżek niemieckich. Jak się zdaje, rząd polski przypuszczał, że Polska zdoła się utrzymać do czasu udzielenia jej pomocy przez armię francuską oraz przez marynarkę i lotnictwo brytyjskie. „Pewien wysoki urzędnik polski z największym przekonaniem udowadniał mi w owym czasie, że kawaleria polska odegra niezwykłą rolę w odpieraniu najezdniczych kolumn niemieckich". A przecież zarówno Polska jak cały świat zdawał sobie sprawę z upośledzenia technicznego Niemiec i z kruszącej siły ich lotnictwa.

Najbardziej interesujący i pod wielu względami rewelacyjny rozdział poświęca autor swojej podróży do Europy na początku r. 1940. Odwiedziny swoje rozpoczął Sumner Welles od Włoch. Usłyszał tu od Ciana, że wbrew umowie włosko-niemieckiej, która przewidywała wzajemną konsultację przed jakąkolwiek wojskową akcją niemiecką, Hitler rozpoczął wojnę z Polską bez zasięgnięcia opinii Włoch. „Zapobiegliby śmy, gdybyśmy mogli, najazdowi na Polskę, ale nie mieliśmy nigdy najmniejszej okazji do wywarcia wpływu na Hitlera, aby się od niego powstrzymał". Ciano wskazywał dalej na głęboką sympatię Włoch dla „prawdziwych (real)" Polaków. Polska musi być odbudowana. Najlepszym dowodem intencyj Włoch jest fakt, że rząd włoski w dalszym ciągu uznaje ambasadę polską w Rzymie i że on, Ciano, czyni wszystko co można by złagodzić brutalność postępowania Niemców w okupowanej Polsce. Ciano dodał, że w październiku 1939 r. Hitler prawdopodobnie zgodziłby się na pokój na następujących warunkach: uznanie aneksji Austrii, ewentualnie poprzedzone plebiscytem; niepodległa Słowacja i niepodległe Czecho-Morawy pod protektoratem Niemiec; odbudowanie „całkowicie niepodległej" Polski, przy czym Niemcy zatrzymałyby Gdańsk, korytarz i zachodnią Polskę, zamieszkałą przez mniejszości niemieckie, a Rosja — wschodnią Polskę (Polacy z tych terytoriów zostaliby przesiedleni do nowego państwa polskiego, które uzyskałoby dostęp do morza); zwrot kolonij.

Podobne stanowisko w sprawach polskich zajął Mussolini, oświadczając z całą „energią (vigour)": „Naród polski ma prawo do niespętanej niepodległości i suwerenności, i udzielę mu poparcia w tych jego dążeniach. Nie znaczy to jednak, aby Polska miała znowu stać się niedorzecznym zespołem różnych narodowości. Kwestia mniejszości w ciągu ostatnich lat dwudziestu zatruwała Europę. Nie można ponownie popełnić tego zasadniczego błędu. Prawdziwi Niemcy z Gdańska, z korytarza, z Poznańskiego (Posen) muszą pozostać w Rzeszy, ale prawdziwi Polacy muszą mieć wolną Polskę z dostępem do morza". Spytałem: „Co się ma stać z prawdziwymi Polakami, którzy znajdują się obecnie pod panowaniem resysjskim?". Mussolini odpowiedział, że mogą oni emigrować z Polski będącej pod władzą Rosjan, podobnie jak Niemcy emigrowali z Górnej Adygi z powrotem do Niemiec. „Czy można znaleźć inne wyjście, o ile nie jesteśmy zdecydowani walczyć z Rosją?". Kiedy Sumner Welles przed odjazdem swoim do Ameryki raz jeszcze powrócił do Rzymu, Mussolini dorzucił, że w przyszłym traktacie pokojowym trzeba liczyć się z dokonanymi przez Hitlera przesiedleniami ludności polskiej i że jeżeli np. przesiedlono milion Polaków z „Polski niemieckiej" do Warszawy i innych czysto polskich części kraju, trzeba uznać to za fakt dokonany.

Krzyż na pobojowisku pod Krzykawką, gdzie padł płk Nullo

Z Rzymu Sumner Welles udał się do Berlina. Tu Ribbentrop wyłożył mu swój punkt widzenia w kwestii polskiej. Hitler zawsze utrzymywał, że odłączenie od Rzeszy niemieckiego Gdańska i oddzielenie Prus Wschodnich nie da się na stałe utrzymać. Ale równocześnie Hitler był zdania, że zagadnienia sporne dadzą się rozwiązać w drodze rokowań między obu państwami i ten duch ożywiał polsko-niemiecki pakt o nieagresji. W r. 1938 Auswaertiges Amt rozpoczął z płk. Beckiem rokowania w sprawie przyłączenia Gdańska do Rzeszy i eksterytorialnej autostrady przez korytarz. „Rozmowy te były na dobrej drodze (prospered); w zasadzie osiągnięto całkowite porozumienie (complete agreement) podczas pobytu płk. Becka w Berlinie i w Berchtesgaden na początku r. 1939. Ribbentrop utrzymywał, że gdyby nie obca interwencja, doszłoby do pełnej ugody (entire arrangement) ku zadowoleniu Polski, a Niemcy wytrwałyby na zawsze przy tym rozwiązaniu". (Tu Sumner Welles wskazuje na sprzeczność w oświadczeniu Ribbentropa, który poprzednio cytował opinię Hitlera, że korytarz na stałe nie da się utrzymać). Cóż się potem stało? — zapytuje Ribbentrop. Rząd niemiecki znajduje się w posiadaniu archiwów warszawskich i ma niezbite dowody, że rząd brytyjski podżegał (incited) rząd polski do niezgodzenia się na proponowane porozumienie i do spowodowania wojny z Niemcami („to determine upon war against Germany"). Podobne stanowisko zajęli dyplomaci kilku innych państw (aluzja na Stanów Zjednoczonych). Gwarancje wojskowe Wielkiej Brytanii narzucone zostały Polsce wbrew (?) życzeniom i radom płk. Becka, jedynie w tym celu aby powstrzymać Polskę od ustępstw dla Niemiec. W rezultacie Polacy rozpoczęli „okrutne" prześladowanie Niemców w Polsce: te prześladowania w połączeniu z mobilizacją armii polskiej zmusiły Niemcy do przedsięwzięcia akcji obronnej. W Europie środkowej Niemcy chcą zajmować takie samo stanowisko, jakie na półkuli zachodniej zajmują Stany Zjednoczone na zasadzie doktryny Monroego. Jako wielkie mocarstwo Niemcy mają prawo do obrony swych żywotnych interesów i do oficjalnego uznania przez inne mocarstwa sfery wpływów Niemiec w Europie środkowej. W sprawach Europy wschodniej Niemcy będą rozmawiały tylko z Rosją sow., z nikim innym. Tak rozumował Ribbentrop.

W tym samym tonie utrzymane były wynurzenia Hitlera, który przypomniał, iż zapowiedział ambasadorowi brytyjskiemu, że Niemcy nie mogą pozwolić na ustawiczne wtrącanie się mocarstw zachodnio-europejskich do spraw Europy wschodniej i że nie mogą ścierpieć stanu rzeczy, który prowadzi do coraz większego zagrożenia żywotnych interesów Niemiec. Niemcy nie pragną panowania nad nieniemieckimi narodami i nie chcą niszczyć czy ograniczać niepodległości swych sąsiadów, ale „nie mają zamiaru dopuścić, aby jakiekolwiek państwo na wschodniej granicy Niemiec stanowiło znowu wojskowe lub strategiczne zagrożenie bezpieczeństwa Niemiec". Poza tym Niemcy muszą domagać się uznania ich przewagi gospodarczej w Europie wschodniej i południowo-wschodniej.

Jak widzimy, poglądy Hitlera na przyszłość Polski są bliźniaczo podobne do poglądów Stalina, trzeba jednak zapisać na jego dobro, że nie mówi o „silnej" Polsce.

Interesującą rewelację przyniosła rozmowa Sumner Wellesa z Goeringiem. Oświadczył on, że w czasie pobytu Ribbentropa w Paryżu w grudniu 1938 r. w celu podpisania paktu o nieagresji, Bonnet w imieniu rządu francuskiego oświadczył, że Francja, wyciągając konsekwencje z układu monachijskiego, rezygnuje ze swoich interesów w Europie wschodniej i że powstrzyma się od dalszego wpływania na politykę Polski: w szczególności Francja nie będzie sprzeciwiała się powrotowi Gdańska do Niemiec i autostradzie przez korytarz. Jeśli chodzi o przyszłość Polski, Goering uważa, że „Polacy, którzy naprawdę są Polakami, powinni uzyskać wolną i niepodległą Polskę z dostępem do morza".

W czasie wizyty Sumner Wellesa w Paryżu, Bonnet zaprzeczył twierdzeniom Ribbentropa. Wprost przeciwnie, podpisując pakt o nieagresji, rząd francuski wyraźnie podkreślił, że nie może on w niczym naruszyć sojuszów Francji z Polską i z Rosją sowiecką. Ribbentrop oświadczył, że jeśli chodzi o Polskę, deklaracja rządu francuskiego nie godzi w interesa Niemiec, które mają pakt o nieagresji z Polską i są przekonane że najbliższe lata przyniosą wzmocnienie z nią przyjaznych stosunków.

Omawiając zagadnienie polsko-rosyjskie, Sumner Welles wypowiada pogląd, że traktat ryski, „narzucony" Sowietom po zwycięstwie Polaków pod Warszawą, pozbawił Rosję rozległych terytoriów. Terytoria te co prawda znajdowały się dawniej pod panowaniem polskim, ale ludność polska przeważnie nie przekracza tam 10%. Wprawdzie Rosja w Rydze skapitulowała, ale linia Curzona jest linią sprawiedliwszą niż linia ustalona w Rydze, i bardziej odpowiada zasadzie samostanowienia narodów. „Każdy bezstronny obserwator musi podziwiać wspaniałą wiarę i patriotyzm narodu polskiego". Oparł się on wszelkim próbom wynarodowienia, oparł się najreakcyjniejszym siłom, ale nie może wymagać, aby świat uważał za święte granice Polski z r. 1772 (sic! — autor dwa razy popełnia ten sam błąd, myląc granice Polski sprzed pierwszego rozbioru z granicami sprzed drugiego rozbioru, 1792). Na wschodzie Polska powinna otrzymać tylko te ziemie, na których ludność polska stanowi większość. Będzie to w zgodzie z dobrze zrozumianym interesem Polski, która pozbędzie się wrogo nastrojonych mniejszości narodowych. Sowiety są uprawnione do stworzenia w Europie wschodniej systemu regionalnego, złożonego z chętnych do współpracy i przyjaznych państw niezależnych, sąsiadujących z Rosją. Gdyby jednak Rosja ów system regionalny uznała za narzędzie do stworzenia szeregu protektoratów jako kroku wstępnego do wcielenia ich do Sowietów, dowiodłaby, że wkracza na drogę ekspansji politycznej. Sumner Welles domaga się plebiscytów na terytoriach spornych, przy czym oczywiście, muszą to być plebiscyty prawdziwe, a nie takie jakie Rosja przeprowadziła w r. 1939, które trudno uważać za coś innego niż za zamaskowanie okupacji wojskowej.

Polska musi z następujących powodów otrzymać Prusy Wschodnie: 1) korytarz był rozwiązaniem niedostatecznym, utrzymywał stan napięcia między Polską a Niemcami, w razie wojny oddawał Polskę na pastwę Niemiec; 2) przyszła Polska powinna uzyskać rozleglejszy i łatwiejszy niż dotąd dostęp do morza; 3) Polska utraci znaczną część swego terytorium na wschodzie na rzecz Rosji i dlatego musi być odszkodowana na zachodzie, aby mogła stać się rzeczywiście „silną i niepodległą Polską". Jednocześnie część dawnego polskiego korytarza powinna przypaść (!) Niemcom, z pozostawieniem Gdyni i Gdańska przy Polsce.

Przejście Prus Wschodnich pod panowanie Polski stawia zagadnienie przesiedlenia ludności. Według Sumner Wellesa, nie sprzeciwia się to zasadzie samostanowienia narodów, głoszonej przez Kartę Atlantycką. Karta Atlantycka sprzeciwia się jedynie zmuszaniu tego czy innego narodu do pozostawania pod panowaniem, którego sobie nie życzy. Tak np. Niemiec nie może być zmuszony do pozostawania obywatelem polskim, podobnie Polak nie może być zmuszony do pozostania obywatelem rosyjskim. Przyłączenie Prus Wschodnich do Polski nie spowoduje masowego przerzucenia ludności tego kraju — jak bydła — spod jednego panowania pod inne. Przeciwnie, każdy człowiek, który zechce zachować dawną narodowość, będzie mógł wyemigrować i uzyska całkowicie odszkodowanie za straty materialne, jakie poniesie z tego powodu. Każde przesiedlenie ludności połączone jest z cierpieniem ludzkim, ale w tym wypadku stworzy ono stabilizację stosunków w Europie wschodniej i zapobiegnie przyszłej wojnie.

Niezależnie od oderwania Prus Wschodnich, Sumner Welles głosi konieczność podziału Niemiec na trzy odrębne państwa: Niemcy północno-zachodnie, Niemcy północno-wschodnie i Niemcy południowe.

O Powstaniu Styczniowym

David Footman napisał interesującą monografię Żelabowa *), jednego z przywódców „Narodnoj Wolii" i organizatora zamachu na Aleksandra II; jak wiadomo, car zginął rozszarpany bombą rzuconą przez Polaka, Ignacego Hryniewieckiego.

O powstaniu styczniowym Footman pisze co następuje: „Ta rebelia (rebellion) była fiaskiem. Garnizon rosyjski pozostał lojalny. W samej Rosji zabrakło skoordynowanych wystąpień. Była to bezładna kilkutygodniowa wojna podjazdowa w pewnych częściach Polski, ale powstańcy nigdy nie owładnęli żadną pozycją kluczową, nigdy nie zgromadzili tyle sił, aby móc wydać regularną bitwę. W maju rebelia wygasła, i władze rosyjskie rozpoczęły represje. Skrajni opozycjoniści na wszelki możliwy sposób zużytkowali okrucieństwa rosyjskie w Polsce w celu propagandy sprawy rewolucji w samej Rosji: ale agitacja odniosła niewielki skutek. Uczucia nacjonalistyczne zostały rozbudzone, a wrodzony brak wzajemnych sympatyj między Rosjanami a Polakami uniemożliwił reakcję opinii publicznej na czysto polskie krzywdy. W Rosji głównym skutkiem powstania polskiego było osobiste podrażnienie cesarza i wzmocnienie tych sfer dworskich, które zalecały silną rękę".

W innym miejscu Footman zaznacza, że popularność Hercena upadła po powstaniu styczniowym. Popierał on Polaków i dlatego tracił sympatie liberałów rosyjskich.

*) Sumner Welles. The Time for Decision. Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 331 i 1nl. i tabl. 1.

*) Red Prelude. A Life of A. I. Zhelyabow by David Footman. Londyn, The Cresset Press, 1944; str. 249 i 3nl. i tabl. 1.

POWSTANIE ZWIĄZKU ZIEM WSCHODNICH „WŁOCHY"

Dnia 11 stycznia br. odbyło się w Rzymie zebranie inauguracyjne oddziału „Włochy" „Związku Ziem Wschodnich". Na zebranie przybyli licznie obywatele polscy mieszkający w Rzymie i zaproszeni goście. Przybyli m. in. ambasador R. P. przy Stolicy Apostolskiej Kazimierz Papee, biskup polowy wojsk polskich Józef Gawlina, ks. biskup Ignacy Dubowski.

Zebrani wysłuchali referatu członka komitetu organizacyjnego p. Stanisława Janikowskiego, po czym gorąco przyjęli deklarację o następującym brzmieniu:

„Obywatele R. P. na terenie Włoch organizują się w „Związku Ziem Wschodnich" w chwili wyjątkowo ciężkiej dla państwa i narodu polskiego. Po pięciu latach walki w najcięższych warunkach, w chwili załamywania się potęgi niemieckiej, Polska nie odzyskuje wolności, a jedynie zmienia okupanta.

„Rzeczpospolita Polska, a w szczególności jej ziemie wschodnie stają się zaporą przez którą usiłują przejść do Europy wrogie siły materialistycznej i azjatyckiej potęgi, by w gruzy obrócić zachodnią, chrześcijańską kulturę.

„W Litwie, Łotwie, i Estonii — już kamień grobowy przywalili wolne narody, a świat pokrył tę zbrodnię milczeniem. Wcześniej jeszcze, poprzez sztuczny głód, aresztу i deportacje milionów ludzi, Moskwa zgotowała Ukrainie los tak okrutny, że winien on stać się odstraszającym memento dla tych wszystkich, którzy zachowali jeszcze złudzenia, co do metod i intencyj moskiewskich.

„Obecnie Moskwa sięga po całą Polskę, a w pierwszym rzędzie po jej wschodnie ziemie, które aktem jednostronnym wcieliła do Związku Sowieckiego. Ziemie te nigdy nie były rosyjskie, a ludność ich od wieków żyła w zasięgu wpływów kulturalnych zachodu.

„W czasie wojny obecnej wspólna walka z Niemcami dawała pierwszą i jedyną w historii okazję nie tylko do porozumienia polsko-rosyjskiego, ale i do znalezienia wspólnego języka między azjatycką Rosją a całą Europą. Moskwa jednak okazję tę zmarnowała.

„W czasie, gdy rząd polski godził się na ustępstwa nawet przekraczające jego kompetencje, a mocarstwa zachodnie nie ustawały w próbach pośrednictwa — rząd sowiecki nie oglądając się na nic, bezwzględnie przeprowadzał swe plany. Władze sowieckie zniszczyły fizycznie polskie państwo podziemne przez deportacje i rozstrzeliwania jego przedstawicieli, a przede wszystkim żołnierzy Armii Krajowej, którzy walczyli na Wołyniu, w Wilnie i Lwowie. Przez bezczynne przypatrywanie się tragedii Warszawy, stały się współodpowiedzialne za zniszczenie miasta i śmierć 200.000 jego obywateli, a tułaczkę pozostałych przy życiu. Ponowiły się na ziemiach zajętych przez armię czerwoną masowe deportacje, pod pretekstem narzuconego prawa o przesiedleniu. Zasadniczym celem tej akcji jest zniszczenie sił żywotnych nie tylko polskich, ale i ukraińskich. Biologiczne niszczenie narodu nie jest płaszczyzną, na której naród niszczony może się porozumieć z niszczącym go państwem.

„Obraz ten jest celowo i umiejętnie zaciemniany wobec opinii światowej. By zmylić jej czujność, ostatnio dokonano przekształcenia tzw. Komitetu Lubelskiego na „tymczasowy rząd polski", uznany oczywiście przez swego mocodawcę — rząd moskiewski. Po raz pierwszy w czasie tej wojny znalazła się garstka polskich zaprzańców, którzy zgodzili się nadużywać imienia Rzeczypospolitej, będąc na usługach obcego mocarstwa. Naród polski ze zgrozą wyklucza ze swego grona tych, którzy go zdradzili.

„Imieniem Kraju, obok rządu R. P., może przemawiać jedynie organizacja Polski podziemnej z Krajową Radą Ministrów i Radą Jedności Narodowej na czele. Polska Podziemna, która od pięciu z górą lat walczy o wolność, jest najściślej zespolona z rządem R. P., a Krajowa Rada Ministrów jest jego częścią składową.

„Związek Ziem Wschodnich" na pierwszym swym zebraniu w Rzymie stwierdza, że wraz z ogółem uchodźstwa polskiego podporządkowuje się karnie rządowi R. P., na którego czele stoi jeden z bojowników Polski Podziemnej. W poczuciu trudności, jakie nas czekają, ze świadomością ofiar, jakie wypadnie nam składać, stajemy jako zbiorowa siła, do walki o „Waszą i naszą wolność".

■

W drugiej części zebrania członkowie wybrali tymczasowy zarząd oddziału „Włochy", do którego weszli przedstawiciele wszystkich kierunków i odcieni myśli politycznej.

Zebranie wysłało depesze do Prezydenta R.P., do premiera Arciszewskiego i do Dowódcy 2. Polskiego Korpusu, gen. dyw. Władysława Andersa.

Pan. Prezydent Rzeczypospolitej Władysław RACZKIEWICZ.

Uchodźstwo polskie we Włoszech organizując Oddział „Włochy" „Związku Ziem Wschodnich" pragnie dać wyraz obywatelskiej trosce o nasze ziemie wschodnie, a zarazem zrzeszyć się do walki o niezaprzeczone prawa Rzeczypospolitej do tych ziem.

W Tobie, Panie Prezydencie, widzimy symbol majestatu Rzeczypospolitej, w Tobie uznajemy jedyną Głowę Państwa Polskiego, oraz jedynego dysponenta wszystkich sił polskiego narodu.

My, obywatele Rzeczypospolitej, bez różnicy wyznania i narodowości, prosimy Cię, Panie Prezydencie, byś kierując nawą państwową nadal chronił całość Polski i prowadził ją w myśl tych haseł, o które walczą tu na ziemi włoskiej polscy żołnierze, przeważnie synowie ziem wschodnich. Za hasła te i my walczyć pragniemy aż do ofiary najwyższej, są one zawsze jednakie i niezmienne: Wolność, Całość, Niepodległość.

Pan Prezes Rady Ministrów Tomasz ARCISZEWSKI.

Zebranie inauguracyjne „Związku Ziem Wschodnich" Oddziału „Włochy" śpieszy złożyć Tobie, Panie Premierze, wyrazy solidarności w walce o prawa Rzeczypospolitej. Widzimy w Panu, Panie Premierze, przede wszystkim jednego z żołnierzy Armii Krajowej, tej Armii, która przynależność państwowa Lwowa i Wilna dokumentowała nadal cierpieniem najlepszych żołnierzy na niemieckim i rosyjskim zesłaniu. Widzimy w Panu żołnierza tej Armii, która przez 63 dni walki w Warszawie udowodniła światu, że nie cofniemy się przed żadną ofiarą w walce o wolność.

Jesteśmy Panu, Panie Premierze, wdzięczni za przypomnienie światu Karty Atlantyckiej. Jedynie na jej zasadach może nastąpić rozwiązanie kwestii naszych ziem wschodnich, a nie drogą gwałtu ze strony jednego z mocarstw dysponujących chwilową przemocą fizyczną.

Widzimy w Panu, Panie Premierze, wyraziciela ciągłości i legalności władz Rzeczypospolitej. Wiemy, że w Kraju cały naród nie odstąpi od sztandarów walki o wolność i całość Rzeczypospolitej, choćby raz jeszcze życie polskie miało się znaleźć w podziemiach. Przykład bierzemy z postawy naszych żołnierzy 2 Korpusu, a wśród nich synów ziemi kresowej — Wilna i Lwowa, którzy tak obficie kośćmi swymi zasiali Sybir i Kazachstan, a krwią zbroczyli stoki Apeninów.

Na ręce Pana, Panie Premierze, składamy zapewnienie, że w walce nie ustaniemy, żadnego narzuconego przez przemoc obcą Komitetu za rząd nie uznamy, dochowamy wierności rządowi R.P. i naszej Ojczyźnie.

Dowódca 2. Korpusu Gen. Dyw. Władysław ANDERS

Spieszymy zawiadomić Pana Generała, że cywilne uchodźstwo polskie zawiązało oddział „Włochy" „Związku Ziem Wschodnich". Wiadomość tę podajemy z Wiecznego Miasta, do którego drogę otwarły oddziały 2. Korpusu, pod rozkazami Pana Generała. Tutaj też do żołnierzy padły niezapomniane słowa Ojca Świętego, że „prawo Wasze jest pewne".

My, którzy z bliska mogliśmy widzieć walki 2. Korpusu, nie tylko czerpaliśmy z nich tytuł do dumy dla imienia polskiego. Z Pańskich ust, Panie Generale, padły zawsze aktualne słowa: „Nie pozwolimy na nowy rozbiór Polski, nie pozwolimy na wprowadzenie rządu agentur obcych i ktokolwiek by chciał i nas namawiał na to, zgody naszej nie uzyska".

W skład 2. Korpusu wchodzi okryta chwałą zwycięstw Dywizja Kresowa. Lwowskiemu Baonowi pozwolił Bóg zdobyć miasto rodzinne dyktatora, który pospieszył się z wyrokiem: „La Polonia e liquidata". Żołnierze tej Dywizji, jak i wszyscy związani z ziemiami wschodnimi, są nam specjalnie bliscy.

Prosimy Pana, Panie Generale, o uważanie nas i naszego Związku za żołnierzy tej samej Sprawy, gotowych do wszelkich ofiar w walce o prawa Rzeczypospolitej.

Za tymczasowy zarząd oddziału „Włochy" „Związku Ziem Wschodnich" depesze podpisali:

Ks. prałat dr. Walerian Meysztowicz
Michał Pawlikowski
Władysław Zachariasiewicz
Stanisław Starczewski
prof. dr. Adolf Winawer
Włodzimierz Sznarbachowski

SPRAWY POLSKIE W PRASIE RZYMSKIEJ

„*L'Osservatore Romano*" w notatce redakcyjnej zajęło się ostatnio wezwaniem ks. biskupa Gawliny do żołnierzy polskich w sprawie działalności uzurpatorów lubelskich. Oto przewodni tok tych rozważań:

„Ostatnie przemówienie księdza biskupa Gawliny utwierdza żołnierzy polskich w ich znanej i bohaterskiej wierności dla przysięgi i przyjętych obowiązków. Wypowiedź Biskupa posiada doniosłe znaczenie polityczne, gdyż okazją dla niej był inny apel, apel wzywający walczących do opuszczenia placu boju.

„Mówimy tu nie wiadomo czy o wystąpieniu partyjnym, czy też pomyłce (politycznej) Komitetu z Lublina. A może o jednym i o drugim, gdyż zacietrzewienie partyjne staje się przyczyną podejmowania czynów bez względu na pożytek czy nakazy roztropności. Wydaje się nieprawdopodobne, aby „komisarz ludowy" do spraw zagranicznych „tymczasowego rządu" Osóbki — Morawskiego nie przestrzegł swego kolegi komisarza obrony narodowej, że rozkaz wzywający wszystkich żołnierzy Armii Polskiej do powrotu do kraju, jako zachęta do dezercji, stoi w jaskrawej sprzeczności, jest nawet aktem sabotażu wobec umów, którą wiążą Polskę zarówno z Rosją, jak i z Anglią, z Ameryką i z wszystkimi narodami sprzymierzonymi (chociażbyśmy przyjęli punkt widzenia Lublina, że dzieje się to za pośrednictwem Rosji). Wojna obecna wybuchła wyłącznie o sprawę Polski, stała się wspólną dla wszystkich narodów przywiązanych do wolności, niepodległości i demokracji.

„Bardzo to nieszczęśliwe i niebezpieczne potknięcie się przy trudach zaledwie rozpoczętej oracy, która aby mogła być uznana przez inne narody, musi przede wszystkim poddać się dokładnemu przez nie zbadaniu. Żaden krok kraju neutralnego, albo też kraju przygotującego zerwanie przymierza lub wystąpienie wrogie nie nasunąłby więcej podejrzeń i wątpliwości niż wezwanie gen. Żymierskiego. A przecież żołnierze państw walczących i sprzymierzonych są towarzyszami broni, żołnierza polskiego w ryzyku, heroiźmie, poświęceniu i śmierci. Nie wydaje się, by był to właściwy sposób reakcji na „splendid isolation", w jakim znajduje się odosobniony Lublin, uznany jedynie przez Moskwę.

„Wezwanie Biskupa Polowego jest faktem rozstrzygającym. Przechodząc bowiem ponad krótkowzroczną politykę niektórych państw podkreśla rycerską wierność Polaków raz danemu słowu, wierność opartą o religię i patriotyzm, obojętną na tak liczne i tak silne pokusy. A to byłoby aż nadto wystarczające, nawet gdyby legalność rządu polskiego w Londynie nie miała innego uzasadnienia wobec polityków, niż zabezpieczenie ciągłości wspólnego wysiłku. Byłby to bowiem najwyższy tytuł zanotowany nie podpisami i pieczęciami na dokumentach dyplomatycznych, lecz krwią".

■

Od pewnego czasu socjalistyczne pismo włoskie „*Avanti*" zajmuje stanowisko bardziej rzeczowe i bezstronne w sprawach polskich. Niedawno zaś zamieściło charakterystyczną ocenę sytuacji międzynarodowej z punktu widzenia polityki amerykańskiej z uwzględnieniem zagadnień polskich. Oto zakończenie jego wywodu:

„Jeżeli Stettinius ograniczył się do przybrania postawy odmiennej od postawy angielskiej w sprawie greckiej, belgijskiej, włoskiej i polskiej, to Roosevelt posunął się jeszcze dalej. Przyznał bowiem, że istnieją spore różnice w europejskim statucie polityczno-terytorialnym i że będzie je dość ciężko usunąć na przyszłym spotkaniu wielkiej trójki. Choć zasady są te same dla wszystkich, interpretacje ich są w praktyce różne.

„Ale właśnie w oparciu o te zasady opiera się krytyka (polityki rządu amerykańskiego) wysuwana przez zwolenników zarówno współpracy międzynarodowej, jak i przez izolacjonistów.

„Oba obozy krytykujące twierdzą, że zasady uroczyście głoszone w Karcie Atlantyckiej, w deklaracji moskiewskiej, w projekcie światowego bezpieczeństwa w Dumbarton Oaks zostały zdradzone. I z tekstami w ręku udowadniają nam to, niepokojąc nas jasnością i przenikliwością.

„Zasady mówią o współpracy i solidarności międzynarodowej. Czyli wzywają do porzucenia starej polityki mocarstw, starej zasady równowagi; twierdzą, że trzeba wznieść się ponad nierozwiązalne kwestie terytorialne, że należy odrzucić sfery wpływów i to wszystko, co przypomina przewagę jednego narodu nad drugim.

„Zasady mówią jeszcze o swobodzie każdego narodu do urządzenia się w ustroju demokratycznym pod kierownictwem ludzi przezeń wybranych.

„Tymczasem fakty mówią co innego. Polityka równowagi trwa dalej. Zamierza się podzielić Europę na dwa wielkie bloki, które mogą pewnego — i to niezbyt odległego dnia — zderzyć się z sobą.

„Fakty te — to są zdarzenia w Grecji, we Włoszech, w Belgii i Polsce. Znajdują one w mowach Churchilla swe wytłumaczenie polityczne. Premier angielski ostro popiera Grecję, Włochy i Belgię, ale pozwala Sowietom robić co chcą w Polsce. Sowiety zaś milczą na temat tamtych krajów i uprawiają dalej swoją politykę w Europie wschodniej. Co to wszystko znaczy? To znaczy, jak się to mówi, że nastąpiła zamiana: Grecja, Włochy i Belgia na Polskę.

„Również izolacjoniści, którzy nahierają oddechu i reorganizują się po głośnej klęsce, jaką był dla nich nowy wybór Roosevelta, leją oliwę do ognia. Podkreślają oni, że ten stan rzeczy może dziwić naiwnych ideologów, lecz nie tych, którzy dobrze znają bezwartościowy świat europejski. Europa chodzi sobie swoimi drogami i dobrze robi. Każdy pilnuje swoich interesów. Tym gorzej więc dla Amerykanów, jeśli nie umieją pilnować własnych. Wielka Brytania i Sowiety dzielą się łupem, podczas gdy Roosevelt patrzy na to z próżnymi rękami. Stany Zjednoczone rzuciły się w awanturę, która dotąd już kosztuje pół miliona strat w ludziach i 200 miliardów dolarów długu. Najwyższy czas, by spojrzeć jasno na sytuację. Po zakończeniu wojny — głoszą izolacjoniści — trzeba powrócić do polityki opartej o dom, do zdrowego rozsądku ojców i porzucić raz na zawsze złudzenia o międzynarodowej współpracy.

„By bronić wszakże idei owej współpracy, Roosevelt winien postawić zasady swojej polityki zagranicznej i rzucić na szalę ciężar potęgi amerykańskiej w naradach światowych.

„Nie ulega wątpliwości, że tak dalej sprawy iść nie mogą. Chodzi tu o życie tysięcy ludzi, o to, co jeszcze trzyma się na nogach w tej naszej Europie. Różnice w obozie aliantów mogą istotnie podtrzymywać rozpaczliwy zaciekły opór Hitlera. Przypomniawszy sobie Bismarka mógłby on bowiem myśleć, że historia jest wielką improwizatorką i w tym upatrywać swoje ocalenie".

Prezydent Roosevelt oznajmił już, że data i miejsce konferencji „wielkiej trójki" są ustalone. Zjazd odbędzie się prawdopodobnie w końcu stycznia.

Wszystkie mocarstwa czynią przygotowania do spotkania. Widoczne są zwłaszcza przygotowania na gruncie wojskowym. Każde z mocarstw chce stawić się z sukcesami w ręku. Każde chce okazać się najsilniejsze. Stąd ofensywy na frontach.

Wielka Brytania zlikwidowała więc — przynajmniej formalnie — wojnę domową w Grecji i umocniła tam rząd gen. Plastirasa, który pod niektórymi względami okazuje się bardziej stanowczy od rządu Papandreu. Na froncie zachodnim II armia brytyjska podjęła ofensywę między rzekami Mozą i Roer, co będzie zapewne miało niemały wpływ na likwidację klina niemieckiego w Belgii.

Amerykanie poza uporczywym i stanowczym wypieraniem Niemców z Belgii, Luksenmurga, a ostatnio znowu z Alzacji, odnieśli jeden z największych triumfów tej wojny, jakim były desanty na głównej wyspie Archipelagu Filipińskiego — Luzon, gdzie rozwija się zwycięsko ich ofensywa w kierunku stolicy Filipin — Manilli. Amerykanie zdobywają więc centralne strategiczne pozycje dla dalszej walki z Japonią. Działania ich floty na Morzu Południowo-Chińskim, bombardowanie portów chińskich opanowanych przez Japończyków, Hongkongu, Formozy, odcinanie Tokio od bogatych w surowce Indyj Holenderskich — wszystko to podważa i niszczy system zdobyczy japońskich, zwłaszcza, że naprzeciw ofensywie amerykańskiej w kierunku zachodnim wyszła ofensywa brytyjska w Burmie w kierunku wschodnim. I choć wielkie przestrzenie dzielą jeszcze obie te siły sprzymierzone, to przecież stanowiska japońskie zarówno w Burmie, jak i w Indochinach oraz w Singapore są coraz bardziej zagrożone i brane w dwa ognie.

Nic dziwnego, że ostatnie wydarzenia wywołały silną reakcję w Tokio, która prawdopodobnie wyrazi się w nowych zmianach politycznych i dalszym zaostrzaniu gospodarki wojennej oraz totalnego wysiłku wojennego. Japończycy nie zdołali dotąd zgnieść oporu chińskiego, nie zapanowali w pełni nad bezkresnymi obszarami Chin, nie mogą więc jak zamierzali — po utracie nieuniknionego już panowania na morzach — liczyć na nienaruszalne w ich mniemaniu pozycje lądowe na kontynencie azjatyckim, ściśle mówiąc w Chinach.

Główne uderzenie na Japonię odkładane jest, jak wiadomo, na okres po wojnie z Niemcami, ale nie potrzeba udowadniać, jak wielkie znaczenie dla ogólnego układu politycznego ma fakt likwidowania już obecnie potęgi japońskiej wyłącznie siłami anglo-amerykańskimi oraz chińskimi bez pomocy z innej strony. Trzeba mieć nadzieję, że w razie powstania nowego układu politycznego w świecie po załamaniu się Niemiec Wielka Brytania i Stany Zjednoczone staną już mocną stopą w Azji i na Oceanie Spokojnym, będą mogły sprostać wszelkim niespodziankom, które gotowe zrodzić się wówczas na Dalekim Wschodzie.

Strefy wpływów w Azji

Prasa amerykańska nie przestaje wierzyć, że Rosja sowiecka uderzy w końcu na Japonię. Nie jest to wyłączone. Ale obserwując taktykę Rosji w Europie można raczej dojść do wniosku, że Moskwa będzie dążyła do skorzystania z wojny japońsko-anglosaskiej w inny sposób, dzieląc się łupami, lub opanowując i wykorzystywując słabszych sojuszników Anglii i Stanów Zjednoczonych, w danym wypadku — Chiny. Nie darmo armia komunistyczna jest tam utrzymywana. Z kim ona w końcu pójdzie i przeciw komu? — Trudno przesądzać, zwłaszcza że i Moskwa nie kieruje się w doborze chwilowych partnerów żadnymi przesądami. Jedno wydaje się pewne: w razie wzmocnienia pozycji anglo-amerykańskiej w Azji, Rosja dążyć będzie również do wzmocnienia tam swego stanowiska, nie licząc się względami na... Kartę Atlantycką i na... „faszyzm" Japonii.

Stanowisko Rosji będzie tym ciekawsze, że w Ameryce w drodze reakcji na podział Europy na dwie strefy wpływów, rosyjską i angielską, rodzi się tendencja do uznania Dalekiego Wschodu za wyłączną strefę wpływów amerykańskich. Z postulatem takim wystąpił senator Partii Republikańskiej Owen Brewster, który w przemówieniu wygłoszonym w towarzystwie „Women Patriotic Conference" oznajmił, że Stany Zjedn. zamierzają rozciągnąć swą strefę wpływów na Dalekim Wschodzie pozostawiając Anglii odpowiedzialność za układ terytorialny Europy. „Stany Zjedn. — powiedział sen. Brewster — powinny zawierzyć decyzjom Anglii i Rosji, jeśli chodzi o sprawy granic europejskich. Ale w Chinach i na Wschodzie Stany Zjednoczone winny uzyskać taką część wpływów i taką pozycję, jaką chciałaby ustalić polityka Wielkiej Brytanii w Grecji, według oświadczeń poczynionych swego czasu przez min. Edena. Dlatego domagamy się od p. Churchilla, by dał poznać swe zamiary pod tym względem".

Przyznajemy, że ta gorączkowa pogoń w zdobywaniu sobie stref wpływów w świecie — rozpętana zresztą głównie przez politykę sowiecką — nie wróży niczego dobrego dla pokoju świata. System rządzenia kulą ziemską przez trzy uzbrojone od stóp do głów potęgi, stykające się z sobą bezpośrednio bez żadnych stref narodów niezależnych i silnych między nimi, nie utrzyma się długo. W strefach wpływów znajduje się zalążek nowej, jeszcze okrutniejszej wojny światowej nr. 3.

Podbój Polski

Rosja tymczasem przerwała ciszę na froncie w Polsce i ruszyła do generalnego natarcia. Zatrzymane na Węgrzech obroną Budapesztu i kontrofensywami niemieckimi na zachód oraz na północ od tego miasta, armie sowieckie szukają obecnie sukcesów w Polsce i w Prusach Wschodnich. Pierwsze uderzenia sowieckie na zachód od Wisły w Kieleckim i w Radomskim dały Rosji zdobycze terenowe tak poważne, że można zastanawiać się, co było ich przyczyną i co się za tym skokiem kryje. Nie wszystko da się wytłumaczyć znaną taktyką niemiecką szybkiego cofania się przed pierwszym impetem ofensyw sowieckich. Mało przekonywające są wyjaśnienia Niemców, że rosjanie uderzyli w Polsce z siłami, przygniatającymi", 90 dywizji piechoty i 15 korpusów pancernych. Trudno też wierzyć komunikatom niemieckim o zniszczeniu w ciągu 5 dni ofensywy 1000 (?) czołgów rosyjskich. Pozost je faktem, że Niemcy, tam gdzie chcą, a więc na Zachodzie, we Włoszech, na granicy Prus Wschodnich, na Węgrzech i Budapeszcie bronią się zaciekle, natomiast zachodnią część tak zw. „generał-gubernatorstwa" oddali w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Wiadomości o walkach niemiecko-rosyjskich w kraju naszym przyjmujemy zawsze ze ściśniętym sercem. Wiemy, czym dla wyczerpanej przeszło pięcioletnią wojną ludności polskiej jest ta nowa pożoga, czym jest walka dwóch obcych i wrogich nam wojsk, jakimi konsekwencjami grozi zamiana jednej okupacji na drugą, jakie pociągnie komplikacje polityczne...

Z drugiej strony wiemy, że im szybciej nastąpi załamanie się Niemiec, im prędzej przestanie działać przymusowa sytuacja związana z koniecznością obalenia potęgi niemieckiej, tym może skorzej myśl polityczna wyzwoli się z pod nakazów wojny z Hitlerem, tym prawdopodobniejsze stanie się swobodniejsze i śmielsze omawianie zagadnień polskich, które wówczas — jak i inne zagadnienia europejskie — przedstawią się we właściwym świetle, a nie jako funkcje strategicznych posunięć.

Nie możemy jednak zapominać, że Rosja zbliżając się do granicy Niemiec na wszystkich odcinkach chce przede wszystkim wzmocnić swą pozycję na konferencji trzech i postawić swych partnerów wobec nowych faktów dokonanych.

Wolna ręka Ameryki

Prezydent Roosevelt oświadczył, że na nowe spotkanie wielkiej trójki uda się „całkowicie wolny od jakichkolwiek zobowiązań w sprawie niezwykle delikatnych zagadnień, związanych z polityką europejską". Prezydent Roosevelt dodawał, że sprawy, które „omawiano i postanowiono na konferencjach w Quebec i Teheranie nie pozbawiły go pełnej i całkowitej swobody decyzji w szczególności w odniesieniu do pewnych zagadnień, jak n. p. w sprawie porozumienia co do granic Polski".

A zatem — co podkreślaliśmy w poprzednim przeglądzie — rząd St. Zjed. pragnie zachować jak najdłużej wolną rękę wobec różnych propozycji wychodzących bądź z Moskwy, bądź z Londynu, a w szczególności obstaje w zasadzie, by sprawy granic dyskutowano dopiero po wojnie.

Zasadniczy ten punkt widzenia nie zmniejsza wzrastającego zainteresowania Ameryki sprawami międzynarodowymi. W senacie amerykańskim prowadzona była ostatnio dyskusja na temat polityki zagranicznej. Zabierali w niej głos zwłaszcza senatorowie Wheeler, Vandenberg, Fergusson i Connally.

Senator Wheeler wystąpił zwłaszcza przeciw formule o „bezwarunkowej kapitulacji," twierdząc, że skłania ona Niemców do wzmacniania obrony z obawy przed następstwami klęski. Sekretarz stanu Stettinius ostro wystąpił przeciw takiemu stawianiu sprawy i podtrzymywał zasadę kapitulacji bezwarunkowej w stosunku do Niemiec i do Japonii. Senator Wheeler nie dał jednak za wygraną i w dalszym ciągu występował przeciw zamierzeniom konferencji w Dumbarton Oaks twierdząc, że „sankcjonuje ona tyranię" następnie krytykował politykę Rosji i Anglii, oświadczając, że „Stany Zjedn. będą popchnięte do wojny z Rosją, jeżeli kraj ten prowadzić będzie w Europie politykę władczą" (power politics). Mówca domagał się utworzenia natychmiast politycznej rady narodów zjednoczonych celem zapewnienia w życiu międzynarodowym „rozwiązań demokratycznych w zgodzie z Kartą Atlantycką, jeżeli chodzi o sprawy terytorialne". Wreszcie oznajmił, że nie poprze żadnej organizacji bezpieczeństwa, dopóki nie będą mu znane dokładnie warunki pokoju.

Można z niektórymi sformułowaniami senatora Wheelera zgadzać się lub nie, ale jest to pierwsze ostre wystąpienie przeciwko dyktatorskiej metodzie decydowania o sprawach poszczególnych narodów przez trzy mocarstwa bez wysłuchania nawet zdania zainteresowanych. Wystąpienie senatora Wheelera, który jest izolacjonistą i może uchodzić za opozycjonistę, mimo należenia do rządzącego Stronnictwa Demokratycznego, miało już ten skutek, że skłoniło senatora Connally'ego, przewodniczącego komisji spraw zagranicznych senatu, do wystąpienia z propozycją utworzenia tymczasowej rady narodów sprzymierzonych. Rada ta zajęłaby się takimi sprawami, jak np. grecka. Podobno prezydent Roosevelt popiera te plany i zamierza je przedłożyć konferencji trzech.

Inicjatywa amerykańska byłaby tym bardziej interesująca, że jednocześnie Rosja zadała kłam wiadomości, jakoby domagała się zaproszenia na konferencję trzech gen. de Gaulle. Suchy komunikat Tassa zaprzeczył też istnieniu porozumienia między Francją a Rosją, na którego zasadzie marsz. Stalin popierałby pretensje Francji co Nadrenii, a gen. de Gaulle broniłby rewindykacji terytorialnych Rosji. Czyżby komunikat Tassa był wyrazem jakiejś fali złego humoru na Kremlu w stosunku do Francji? Czy by był pogróżką i ostrzeżeniem dla gen. de Gaulle? Czyżby Francja nie była ostatecznie uległa wobec swego nowego sprzymierzeńca na wschodzie? Czyżby zbyt jeszcze liczyła się z Anglosasami? Jedno jest pewne: Stalin chce obradować we trzech, woli nie mieć przed sobą swych obecnych i przyszłych ofiar.

Wracając do dyskusji w senacie amerykańskim — dyskusji tłumionej przez senatora Connally'ego ze względu na zbliżającą się konferencję trzech — warto jeszcze zwrócić uwagę na wystąpienie senatora Vandenberg. Jest on członkiem Partii Republikańskiej, a więc opozycyjnej. Krytykując różne przejawy obecnej sytuacji politycznej był jednak bardziej powściągliwy do senatora Wheeler. Mimo to krępując plany na przyszłość wysuwał myśl, by „po osiągnięciu porozumienia co do bezpieczeństwa powszechnego w Dumbarton Oaks wszelkie układy dwustronne i lokalne były rewizji w świetle nowej sytuacji międzynarodowej". Była to oczywiście wyraźna aluzja do układu rosyjsko-angielskiego, której zbytnia zażyłość niekorzystnie opinię amerykańską.

Należałoby wreszcie wskazać na przemówienie sen. Fergusona, który domagając się nowego opowiedzenia się senatu na rzecz zasad Karty Atlantyckiej, wysuwał projekt utworzenia „komisji międzynarodowej, która zbadałaby metody wyzwolenia stosowane w Polsce i w Grecji aż do chwili powstania w tych krajach rządów nie zawisłych i opartych na przedstawicielstwie narodowym". Sen. Connally ze swej strony stwierdzał, że Stany Zjednoczone „nie posiadają polityki zagranicznej w sensie zagrabiania na całym świecie obcych ziem i zapewniania sobie korzyści handlowych, ale Ameryka ma nadzieję że powstanie pokój międzynarodowy i że zapewnione będą prawa i zasada samostanowienia mniejszych narodów".

W przededniu konferencji trzech opinia amerykańska zaznaczyła swe stanowisko w zakresie 1) chęci zachowania wolnej ręki, póki wojna trwa, 2) zamiaru utworzenia rady narodów sprzymierzonych z udziałem mniejszych państw, która zastąpiłaby w końcu konferencję trzech, 3) swej nieufności wobec układów dwustronnych, ściślej mówiąc wobec sojuszu anglosowieckiego. 4) obrony mniejszych narodów.

„Nieporozumienia" anglo-amerykańskie

Prasa amerykańska ostro zareagowała przeciw propagandzie niemieckiej usiłującej rozdymać pewne polemiki prasowe anglo-amerykańskie i wyciągać z nich daleko idące wnioski. Materiału do tego dostarczyły Goebbelsowi pewne dyskusje dotyczące zmian w naczelnym dowództwie alianckim na froncie zachodnim i powierzenia marsz. Montgomery szerszego zakresu dowodzenia, a również nieporozumienia anglo-amerykańskie w komisji ukarania zbrodniarzy wojennych, co skłoniło szefa delegacji brytyjskiej w tej komisji i jej przewodniczącego, sira Cecila Hursta, do złożenia dymisji, zapowiedzi Prezydenta Roosevelta poddania rewizji pewnych układów anglo-amerykańskich w sprawie nafty itd. Ostatnio rzekomo wyrazem tych trudności ma być fakt, że do Londynu dla przygotowania konferencji trzech udał się specjalny doradca prezydenta Roosevelta p. Hopkins, a nie p. Stettinius, który podobno od czasu nieudzielania poparcia brytyjskiemu veto przeciw powierzaniu teki spraw zagranicznych we Włoszech hr. Sforzy jest źle widziany w Londynie.

Nie zamierzamy wchodzić w tę dysputę. Interes Polski, interes Europy, świata i cywilizacji wymaga, by porozumienie anglo-amerykańskie było jak najściślejsze. Tylko siły zła skorzystałyby z tarć między dwoma wielkimi krajami tej samej rasy. Może wskazówką, że nie należy przesadzać w ocenie tych trudności jest fakt, że dotyczą one głównie spraw gospodarczych. Wielka Brytania obawia się przemysłu amerykańskiego, który dzięki wojnie rozrósł się do rozmiarów gigantycznych. I jeżeli jaka część orędzia prezydenta Roosevelta wywołała w Anglii niepokój, to jego apel na rzecz wolnego handlu w świecie. Anglia bowiem jest w tej sytuacji, że pragnie swój handel i swój przemysł po wojnie ochraniać.

Protekcjonizm staje się jej dewizą. I może ze względu na obawy przed przemysłem amerykańskim finansjera Londynu, tak zwana City, jest dziś najgorliwszą wraz ze swym organem konserwatywnym „Timesem" orędowniczką przymierza z Rosją.

Bezwarunkowa kapitulacja

Premier Churchill oświadczył w Izbie gmin, że zasada „bezwarunkowej kapitulacji" w stosunku do Niemiec obowiązuje nadal i że nie widzi, by jej utrzymanie przyczyniało się do przedłużania wojny. Zasada bezwarunkowej kapitulacji ustalona została dwa lata temu na konferencji Roosevelt-Churchill w Casablance. Rosja nie przyłączyła się wówczas do tej formuły, a następnie tylko półgębkiem ją wypowiadała. Rosja bowiem ma własny plan w stosunku do Rzeszy; walczy tylko z Niemcami hitlerowskimi i popiera w Moskwie niemiecki komitet wyzwolenia, który ma na pewno wyznaczoną sobie rolę.

Co oznacza w takim razie podtrzymywanie zasady „bezwarunkowej kapitulacji?". Odpowiedź jest prosta: Londyn i Waszyngton chcą takiego powalenia Niemiec, by nie mogły się one stać po klęsce ewentualnym partnerem w rozgrywkach

(Dokończenie na str. 11)

SOWIECKA OFENSYWA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

DOKUMENTY

Oświadczenie P.P.S.

Komitet Zagraniczny Polskiej Partii Socjalistycznej wydał 8. stycznia następujące oświadczenie:

„W swych wystąpieniach propagandowych t.zw. tymczasowy rząd polski" w Lublinie powołuje się na poparcie, które jakoby miał uzyskać od Polskiej Partii Socjalistycznej. Pragniemy wyjaśnić, że do występowania w imieniu Polskiej Partii Socjalistycznej upoważnione są jedynie prawowite organy wykonawcze wybrane na ostatnim ogólno-narodowym kongresie przed wojną.

„Ponadto Centralny Komitet Wykonawczy Polskiej Partii Socjalistycznej, który działał bez przerwy w Polsce podziemnej w czasie niemieckiej okupacji, upoważnił Komitet Zagraniczny P.P.S. do reprezentowania Partii na zewnątrz. Wszyscy członkowie Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej przebywający za granicą w liczbie jedenastu, łącznie z czterema członkami Komitetu Wykonawczego wchodzą w skład Komitetu Zagranicznego. Ani jeden z członków Centralnego Komitetu Wykonawczego, ani Rady Naczelnej P.P.S., ani w Polsce ani zagranicą nie wypowiedział się za „Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego" lub za t.zw. „rządem tymczasowym" w Lublinie. Wszyscy oni bez wyjątku uznają rząd polski w Londynie za jedyny pełnoprawny rząd polski. Podobnie ani jeden z socjalistycznych posłów do Sejmu polskiego nie popiera „tymczasowego rządu" w Lublinie.

„Wśród osób, które znalazły się w mniemanych władzach centralnych Polskiej Partii Socjalistycznej w Lublinie, znamy nazwiska: Bolesława Drobnera, sprawującego funkcje przewodniczącego „rady naczelnej P.P.S", jak również Osóbki-Morawskiego — prezesa. „centralnego komiteto wykonawczego P.P.S.". Z naciskiem podkreślamy, że wyżej wymienieni nigdy poprzednio nie mieli prawa używania tych tytułów. W momencie wybuchu wojny nikt z nich nie wchodził w skład Naczelnego Komitetu Wykonawczego względnie Rady Naczelnej P.P.S. i nikt z nich nie należał do władz podziemnych P.P.S. w latach 1939-44. Bolesław Drobner należał do P.P.S. od r. 1928, lecz został wydalony we wrześniu 1936 r. Edward Osóbka Morawski porzucił szeregi partii socjalistycznej w czasie wojny i był członkiem nowo powstałej małej grupy, która nazwała się Polską Socjalistyczną Partią Robotniczą. Z niej po wielu rozłamach powstała Polska Partia Robotnicza (P.P.R.), którą to nazwę przybrała partia komunistyczna w Polsce. Były ksiądz Iwan Matuszewski, wg naszych wiadomości, nigdy nie był członkiem P.P.S.

„Żaden z członków tzw. „tymczasowego rządu w Lublinie" nie był nigdy członkiem władz naczelnych P.P.S. To samo odnosi się do członków tzw. Rady Krajowej w Lublinie, którzy twierdzą, że reprezentują P.P.S. Wszyscy wyżej wymienieni tzw. reprezentanci P.P.S. są uzurpatorami, których zorganizowana polska klasa robotnicza nie upoważniła do przemawiania w jej imieniu.

„Twierdzenie „tymczasowego rządu" w Lublinie, jakoby cieszył się on poparciem P.P.S. i udziałem jej członków w rządzie jest mistyfikacją i nadużyciem, które piętnujemy i przed którym przestrzegamy socjalistów i robotników na całym świecie.

„Walka robotników polskich o wolną, niepodległą i demokratyczną Polskę była prowadzona i nadal jest kierowana przez centralne władze Polskiej Partii Socjalistycznej".

Postawa Polaków Kanadyjskich

Dziennik wojsk kanadyjskich we Włoszech *„The Maple Leaf"* zamieścił w numerze z 10. stycznia br. artykuł p.t. „Polacy atakują stanowisko Churchilla", który podajemy poniżej w tłomaczeniu:

— „Kongres Polaków kanadyjskich uważa popieranie polityki Rosji w stosunku do Polski za sprzeczne z zasadami Karty Atlantyckiej. —

„Popieranie w jakikolwiek sposób żądań Rosji w stosunku do Polski zostało uznane na ostatnim kongresie Polaków w Kanadzie za „zaprzeczenie tych ideałów, o które walczy żołnierz kanadyjski i jego polski towarzysz broni".

„To stanowisko wyraża pogląd konferencji, w której wzięli udział delegaci 127 organizacyj polskich w Kanadzie, reprezentujących ponad 90% Kanadyjczyków polskiego pochodzenia.

„Oświadczenie wydane przez konferencję mówi: „Wszystkie narody walczące przeciwko agresji podpisały Kartę Atlantycką, gwarantując zastosowanie zasad moralnych w stosunkach międzynarodowych".

Kongres podkreśla, że ostatnie przemówienie Churchilla wykazuje tendencje sprzeczne z zasadami, w których obronie Wielka Brytania, Kanada i cała Brytyjska Wspólnota Narodów przystąpiły do tej wojny.

„Jako obywatele demokratycznego dominium Kanady pragniemy, by zasady uznane w Kanadzie, w których były wychowane nasze dzieci, stosowały się nie tylko do wielkich potęg, ale i do małych narodów. Polska wielokrotnie dała dowody swego prawa do niepodległego bytu, walcząc przeciwko Niemcom, broniąc Wielkiej Brytanii w czasie niemieckiego „blitzu", oddając życie jej najlepszych synów na ołtarzu wolności, na polach bitewnych we Włoszech, Francji, Afryce, Belgii i Holandii.

„Uważamy poparcie udzielone przez premiera Wielkiej Brytanii dla postawy Rosji, udzielone z tego powodu, że Rosja jest silna, a Polska słabsza, za zaprzeczenie tych ideałów, o które żołnierz kanadyjski i jego polski towarzysz broni, jak również inni żołnierze państw sprzymierzonych, hojnie szafują krwią na polach bitew Europy.

„Jako Kanadyjczycy polskiego pochodzenia zabieramy głos w tej sprawie, kierowani nie tylko sympatią dla Polski, lecz również zrozumieniem interesów Kanady, która jako demokratyczne i wolne dominium może istnieć i rozwijać się jedynie w świecie, w którym stosunki międzynarodowe opierają się na zasadach prawa, a nie siły przed prawem.

„Jeżeli te zasady nie będą uznane dziś w stosunku do Polski, może okazać się, że jutro nie będą one uznane w stosunku do Kanady. Układ monachijski powinien być najbardziej wymownym ostrzeżeniem dla całego demokratycznego świata w chwili obecnej i na przyszłość".

„Bloody baboons" czyli krwawe małpy

Angielski „Evening News" z 11. stycznia podaje:

„Premier Churchill i lord Alfred Douglas dokonali wymiany listów w sprawie Polski.

„Lord Douglas w liście do premiera Churchilla, pisanym z fermy „Old Monks" mówi:

„Piszę ten mój list z łoża, które jest przypuszczalnie moim łożem śmiertelnym. Otrzymałem ostatnie namaszczenie trzy dni temu. Jako człowiek umierający piszę ten list do Pana, błagając go, by po wspaniałej mowie, jaką wygłosił Pan w sprawie Grecji, nie stoczył się Pan w otchłań hańby, która byłaby wynikiem zdrady Polski i oddania jej w ręce ludzi, których Pan sam nie tak dawno nazwał „bloody baboons" — krwawymi małpami.

Jestem zbyt chory, by pisać więcej, lecz proszę, by Pan pamiętał, że jeżeli porzuci Pan Polaków, Pańskie dobre imię, które jest obecnie u szczytu chwały, zostanie narażone nieodmiennie na szwank w oczach potomności".

Churchill odpowiedział listem następującym:

„Dziękuję Panu za list. Może Pan być pewny, że nie odstąpimy w żadnym wypadku od naszego postanowienia, by zachować „domową wolność" (domestic freedom) i pełną suwerenność państwa polskiego. Nie mogę jednak zgodzić się, by granice nie miały być poprawione pod warunkiem, że Polska otrzyma bezpieczny dom i spokojne miejsce, całkowicie wystarczające dla ekonomicznych potrzeb jej ludności.

„Mam nadzieję, że zdrowie Pańskie poprawi się".

Lord Douglas jest najstarszym żyjącym synem ośmiu markizów Queensbury i ma 74 lat.

Ofiary

Ambasador K. Papee wpłacił honorarium za artykuł w „Orle Białym", w wysokości 640 (słownie sześćset czterdzieści) lirów na rzecz jeńców polskich w niewoli niemieckiej.

Inż. Ostrowski W. wpłacił 8.190 (osiem tysięcy sto dziewięćdziesiąt) lirów na „Fundusz Pomocy Warszawy".

SOWIECKA OFENSYWA

(Dokończenie ze str. 10)

między wielkimi sojusznikami. Obawa, że tak się stać może, że Niemcy nawet po klęsce mogą być dla kogoś aliantem, istnieje widocznie nadal, skoro formuła o „bezwarunkowej kapitulacji" została tak silnie znowu podkreślona.

Sprawy greckie

Premier Churchill odpowiadal również w Izbie Gmin na zapytania w sprawie Karty Atlantyckiej i Grecji. Karta ma dla niego to samo znaczenie co w r. 1941, nie wszystkie jednak jej zasady będą mogły być natychmiast zrealizowane, stanowi ona sformułowanie dążeń, ale nie jest tekstem prawnym. Zapewne. Chodzi tylko o to, by nie stała się zbiorem pobożnych życzeń i dobrych chęci, którymi itd...

Premier Churchill wytrzymywać musiał znowu ataki lewicy Labour Party zwłaszcza p. Shinwella w sprawie Grecji, a także komunisty Gallachera. Temu premier odpowiedział kpiąco: „Gallacher nie powinien zbytnio roznamiętniać się tymi sprawami, albowiem gotów popaść w herezję trockistowską". Czyżby pogrożenie Gallacherowi... Stalinem było uzasadnione? Czyżby Gallacher nie wiedział, co czyni?

Co było przyczyną tych napaści na rząd brytyjski? Zachowanie się rządu i gen. Scobiego, dowódcy wojsk brytyjskich w Grecji wobec Elasu.

Gen. Scobie zawarł rozejm z Elasem, który zaczął obowiązywać 15 stycznia (walki trwały i po tym terminie), ale rozejm, jak wszyscy wiedzą, jest dość kruchy, głównie z powodu zatrzymania i uprowadzenia przez oddziały Elasu 32.000 zakładników. Rząd brytyjski zatwierdził warunki rozejmu, ale jednocześnie stwierdził, że zatrzymanie zakładników jest „obyczajem barbarzyńskim potępionym przez prawo międzynarodowe". Również regent Grecji arcybiskup Damaskinos wystąpił przeciw postępowaniu Elasu, podobne stanowisko zajął rząd gen. Plastirasa, który oznajmił, że rozejm podpisany przez gen. Scobiego nie może wprowadzić żadnych odchyleń w polityce rządu, który zmierzać będzie do „zapewnienia panowania prawa w całym kraju".

W kilka dni później rząd gen. Plastirasa wydał oświadczenie, w którym zapowiedział, że „ukaranie zbrodniarzy będzie niezłomne". „Mamy zamiar — mówił gen. Plastiras — zachować takie stanowisko wobec tych zbrodniarzy, którzy uczestniczyli w powstaniu". Tylko ci, którzy okażą skruchę będą mogli liczyć na przebaczenie, natomiast nie będzie ogólnej amnestii. Generałowi Scobie zarzuca część lewicy brytyjskiej, że popiera to stanowisko. Miał on oświadczyć wobec zebranych tłumów w Atenach, że „bronić będzie narodu greckiego i jego wolności przed rewolucją bez względu na to, kto ją spowoduje". Z drugiej strony zapewnił on, że z pośród członków powstania karani będą ci tylko, którzy naruszyli prawa wojenne. Otóż zarówno rząd gen. Plastirasa, jak i gen. Scobie znaleźli obrońcę w premierze Churchillu. O rządzie greckim wyraził się on, że jest „bardzo demokratyczny" i składa się z „samych niemal republikanów", a o gen. Scobie powiedział, że „zachował się w Grecji wspaniale".

Wszystko to w najwyższym stopniu nie podoba się lewicy brytyjskiej. Znany przywódca lewego odłamu Labour Party i jej wiceprzewodniczący Harold Laski oświadczył, że stronnictwo jego jest „niezadowolone" z rozejmu zawartego w Grecji.

Inaczej w Jugosławii

Politykę Wielkiej Brytanii w Grecji komplikuje fakt, że w Jugosławii nie ma odpowiednika gen. Scobiego, ani też rządu typu gen. Plastirasa. W Jugosławii sytuacja rozwija się inaczej. Co prawda, król Piotr II nakłaniany jest podobnie jak król grecki do przekazania władzy w ręce regencji, ale w rzeczywistości ma to uczynić w tym celu, by ugruntować i usankcjonować władzę marsz. Tito i partyzantów, którzy są niczym innym jak odpowiednikiem Elasu.

Król Piotr II mimo nacisków nie zgodził się dotychczas na uznanie układu Subaszic-Tito, zawartego poza jego plecami a pod auspicjami Moskwy. Wysuwa on dwa zastrzeżenia; co do formy regencji, której wprowadzenie byłoby oczywiście zamaskowaną abdykacją, oraz co do powierzenia władzy wyłącznie w ręce „jednej grupy politycznej", popierającej marsz. Tito. Król uważa, że jest to sprzeczne z konstytucją i demokracją, która winna udostępniać władzę wszystkim ugrupowaniom politycznym... Młody monarcha wyraża pogląd, że układ Subaszic-Tito porusza tak zasadnicze zagadnienia ustrojowe, iż normalnie powinien uzyskać sankcję narodu.

Stanowisko króla wywołało burzę protestów wśród titowców. Oskarżono Piotra II o faszyzm, reakcję, słuchanie starych partii serbskich itd... Rząd angielski, który oznajmił, że w zasadzie popiera układ Subaszic-Tito, znalazł się w ciężkiej sytuacji. Premier Subaszicz zagroził dymisją, marsz. Tito — buntem. Kryzys jest więc w toku, choć czynione są dalsze usiłowania, by jakoś go zażegnać.

Trudność polega na tym, że Piotr II jest potomkiem dwóch wielkich monarchów, wiernych aliantów Anglii w poprzedniej wojnie, i że sam, swym śmiałym stanowiskiem w r. 1941 zadecydował o przystąpieniu Jugosławii do wojny po stronie W. Brytanii, gdy ta znajdowała się w najcięższej sytuacji. Trudność polega również na tym, że przykłady grecki i jugosłowiański świadczą, jak dalece odeszliśmy od polityki zasad, by kierować się nazbyt o wartcie oportunizmem, a tego tak zwana opinia nie lubi. Żąda ona, by przynajmniej były zachowane pozory...

Zapowiedź rewolucji

Maurycy Thorez, sekretarz generalny francuskiej partii komunistycznej, który po pięcioletnim pobycie w Moskwie, gdzie został wygnany, powrócił przed miesiącem do Francji, jest człowiekiem... poczciwym. Oświadczył on z rozbrajającą szczerością, że co prawda ze względu na prowadzoną wojnę „ nie ma dziś miejsca na polityczne powstanie", ale „prędzej czy później dojdzie do społecznego wybuchu we Francji i w Ameryce, podobnego do tego, który 30 lat temu przekształcił Rosję". A zatem rewolucja komunistyczna we Francji i w Stanach Zjednoczonych jest tylko łaskawie odroczona. Oba te kraje wszakże czeka los Rosji. Maurycy Thorez zapowiada to z całym spokojem. Komuniści nie krępują się już niczym. Jak ofensywa — to wszędzie.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Wojska sowieckie w Warszawie

Przez 63 dni Niemcy zwalczali uporczywie powstanie w Warszawie. Nie chcieli miasta oddać Polakom. Oddali je dziś Moskalom — niemal bez walki. Wówczas „nieprzyzwyciężone trudności strategiczne" nie pozwalały wojskom sowieckim nawet na udzielenie pomocy powstańcom. Dziś zajęły miasto bez trudu. Przeszkody strategiczne ulotniły się cudownie. Tłumaczy to wszystko, jak również i to dlaczego Niemcy razili Warszawę przez 63 dni — ogniem, a Moskale dłużej nawet — oszczerstwem. Ale tłumaczy to również, dlaczego Warszawa walczyła, dlaczego nie chciała przechodzić biernie z rąk do rąk, dlaczego nie godziła się na zamianę jednej okupacji na drugą. Zgliszcza Warszawy są dziełem zarówno Niemców, jak Moskali. Zgliszcza te można dziś zajmować, opanowywać, zdobywać. Ale żaden wróg skądkolwiek pochodzi nie zdobędzie przez zgliszcza ukrywanego i przez nie silniej od najlepszych pancerzy chronionego — serca Polski. Nie pozwoli na to pamięć 63 dni. Serce Polski jest nie do zdobycia. Nie posiedli go Niemcy, nie zawładną nim — Moskale.

D. I.

PRZEGLĄD PRASY

Niewygodni świadkowie

W okresie poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej, kiedy na półkach księgarskich i na łamach prasy ustawicznie pojawiały się publikacje osób zwiedzających Rosję, jeden z moich przyjaciół tak ocenił naiwne zachwyty nad rosyjskimi osiągnięciami: „Nie uwierzę, że w Rosji jest dobrze, dopóki wycieczki nie zaczną jeździć nie tylko ze świata kapitalistycznego do Rosji, ale i z Rosji do świata kapitalistycznego”.

Dziś mur, jakim Rosja zamyka się przed za granicą, stał się jeszcze bardziej szczelny. Nie tylko na terytorium Rosji, ale nawet na okupowane przez siebie ziemie Rosjanie nie wpuszczają prawie nikogo. Przemiany, jakie tam następują, odbywają się przy drzwiach zamkniętych, bez świadków.

Na tym tle ciekawą informację przynosi prasa palestyńska. Ostatnio miał się udać do Rumunii Ben Gurion, przedstawiciel Agencji Żydowskiej, jeden z najwybitniejszych sjonistów palestyńskich,— dla zorganizowania przyjazdu do Palestyny tych nielicznych Żydów, którzy uratowali się od pogromu Żelaznej Gwardii. Ben Gurion uzyskał zapewnienie otrzymania wizy rumuńskiej w Turcji, ale po przyjeździe do Ankary dowiedział się, że jednak zezwolenie na wjazd do Rumunii zostało przez Bukareszt cofnięte. Wszelkie zabiegi spełzły na niczem.

Nieudana misja Ben Guriona wywołała w Palestynie duże wrażenie i prasa palestyńska nie taiła swego rozgoryczenia trafnie oceniając, kto właściwie sprzeciwił się przyjazdowi Guriona do Rumunii. „Hamashkif” z 13 grudnia ub. r. tak pisał.

„Niewpuszczenie Ben Guriona do Rumunii jest przedmiotem różnych komentarzy. Wiadomo, że ostatnio siedzi tam (już wyjechał — przyp. red.) jako delegat rządu sowieckiego Wyszyński (znany z procesów o czystkę), a chociaż w Rumunii rządzi jeszcze król Michał, to jednak wtajemniczeni twierdzą, że samodzielność Rumunii zależna jest od wskazówek delegata z Moskwy. Nie można ani na chwilę przypuścić, by sprzeciw nastąpił ze strony rządu rumuńskiego, przeciwnie, z ostatniej deklaracji króla i królowej matki można wnioskować, że chętnie widzieli by oni delegata Żydów z Palestyny, a więc cofnięcie zgody spowodował nikt inny jak „siły jutra”, które się tak chwali w Palestynie, a które uległe kokietuje agencyjna prasa. Niewpuszczenie Ben Guriona do Rumunii powinno było raz nareszcie otworzyć oczy lewicy. Mimi to jednak niektóre organy prasowe nie przestają kadzić „sile antyfaszystowskiej”, która rządzi na Kremlu”.

To charakterystyczne odgradzanie się Rosji jest zupełnie zrozumiałe dla każdego, kto Rosję „zwiedził” poza oficjalną wycieczką „Inturista”.

Dr Sommerstein wolał ustąpić

Pod powyższym tytułem ten sam „*Hamashkif*” w artykule redakcyjnym z 4 b. m. naświetla powody, dla których dr. Sommerstein, b. sjonistyczny poseł na Sejm odmówił wstąpienia do „rządu” w Lublinie. Artykuł „*Hamashkif*” ponadto ujawnia właściwy stosunek Sowietów do sjonizmu.

„Oświadczamy i przyznajemy się: jesteśmy bardzo zadowoleni, że dr Sommerstein, który przed wojną był sjonistycznym posłem w Sejmie Polskim, a obecnie — po opuszczeniu więzienia w Rosji — jest członkiem „PKWN” w Lublinie, nie został zamianowany członkiem tymczasowego rządu polskiego, który ogłosił się sam, stosownie do instrukcji wiadomego państwa, rządem polskim. Także trzy motywy tego faktu, które podane zostały przez Palestyńską Agencję Prasową, są jasne i nie wymagają komentarza, ale jest wskazane, by społeczeństwo hebrajskie sobie je zapamiętało i wyciągnęło z nich konkluzje”.

„Argument pierwszy: Rosjanie sprzeciwiają się drowj Sommersteinowi, gdyż jest on sjonistą. Co prawda to wiadomość ta jest nieco niejasna. Rosjanie wyraźnie oświadczyli, zgodnie z tym co czytaliśmy, że nie ingerują w sprawy wewnętrzne państw, a wydaje się nam, że zamianowanie rządu jest stanowczo sprawą wewnętrzną. Ale o tym — tylko mimochodem. Rzecz główna to to, by było jasne dla nas wszystkich, a w szczególności dla tych, którzy schlebiają „siłom jutra”, że Rosjanie sprzeciwili się Sommersteinowi dlatego, że jest on sjonista. My, oczywista, ubolewamy bardzo nad tym, że rząd sowiecki nie zmienił dotąd negatywnego ustosunkowania się do sjonizmu i że dotąd odnosi się do nas jako do narzędzi w ręku imperializmu brytyjskiego, mimo iż imperializm brytyjski jest dzisiaj aliantem Rosji Sowieckiej (a wszakże innego zarzutu sjonizmowi nie można postawić). Bardzo ubolewamy, że pozytywny stosunek Żydów do armii czerwonej, za który zapłaciliśmy niezmiernie drogą cenę — Żydzi w Serbii zostali wymordowani pod pretekstem, że okazali sympatię dla wojska czerwonego — nie zmienił nastawienia władców Kremla i nie skłonił ich do udzielenia pomocy najnieszczęśliwszemu na świecie narodowi. Ubolewamy nad tym, lecz musimy widzieć rzeczywistość, tak jak ona się przedstawia”.

„Argument drugi: liczenie się z nastrojami antysemickimi w niektórych ośrodkach polskich. Nikt z nas nie łudził się, że antysemityzm zniknie po wypędzeniu hitlerowców. Przeciwnie, wszyscy dobrze wiemy, że ta spuścizna pohitlerowska — nienawiść do Żydów pozostanie nawet w krajach uwolnionych i dlatego nie dziwimy się, że ludność chrześcijańska nie życzyła sobie ministra żydowskiego. Także to stanowić powinno naukę dla żywiących iluzję Żydów, wierzących jeszcze, że będą mogli zająć poważne pozycje w krajach diaspory. Istnieje bowiem wielu, którzy ze sprawy Bluma we Francji i Rathenaua w Niemczech niczego się nie nauczyli”.

„Argument trzeci: bardzo dobrze zrobił dr Sommerstein, odmawiając sam przyjęcia funkcji ministra, celem uniknięcia nieprzyjemnych precedensów dla żydowstwa polskiego w chwili obecnej.

„W toczącej się obecnie — pisał dalej Hamashkif” — dyskusji w łonie narodu polskiego nie powinniśmy zabierać głosu. — Ale nie tylko o to chodzi. Być może, że dr Sommerstein nie sprecyzował jawnie tego motywu, ale jest on istotny i doniosły: Żydzi, a w szczególności sjoniści nie powinni ingerować w wewnętrzne sprawy polityki polskiej. Kwestia żydowska w Polsce została prawie w zupełności rozwiązana, a ze społeczeństwa, które liczyło 3 i pół miliona osób pozostało może 200.000 Żydów. Nasze zadanie obecne polega — z czym zgadzają się obecnie nawet ci, którzy zwalczali plan ewakuacji Żabotyńskiego — na wyciągnięciu resztek Żydów z diaspory i na przewiezieniu ich do ojczyzny. Nie mamy innego zadania w przyszłej Polsce ani też w innych krajach europejskich. Wprawdzie spodziewamy się, że będziemy utrzymywali w przyszłości z nowym rządem polskim stosunki, ale jako dwa suwerenne narody, pozostające z sobą w kontakcie dyplomatycznym. Obecnie zainteresowani jesteśmy tylko w likwidacji diaspory żydowskiej w wymienionym państwie i dlatego Żydzi, a zwłaszcza sjoniści nie mają prawa przyjmowania stanowisk, któreby dały im możność ingerowania w życiowe kwestie narodu polskiego.

„Jesteśmy bardzo zadowoleni, że dr Sommerstein nie wstąpił do „rządu” polskiego w Lublinie, szczególnie w tej fazie, kiedy jedynie rząd sowiecki popiera wymieniony „rząd” polski.”

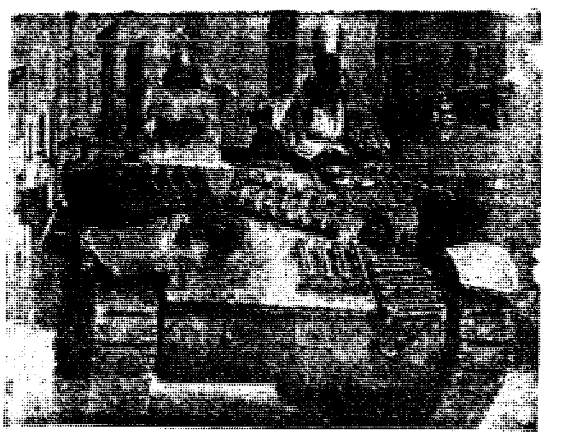

W szóstym roku wojny św. Mikołaj na polskim okręcie w asyście włoskiego aniołka przywiózł upominki dla zbiedzonych bambinów

Naoczny świadek

Bardzo interesujące są uwagi dziennikarza amerykańskiego Wiliama White, który był w Rosji w lecie ub. roku i który trafnie ocenił powody odgradzania się Rosji od świata zewnętrznego. Cytujemy je za „Tygodnikiem Obozowym A. P. W.”.

„Wszyscy prawie reporterzy pism amerykańskich znajdujący się w Moskwie przebywają tam od początku wojny. Większa część ich przyjaciół Rosjan, których znali przeszło 20 lat, została rozstrzelana lub deportowana za zbrodnie utrzymywania stosunków z cudzoziemcami. Ci nieliczni zaś, którzy pozostali przy życiu, obawiają się spotykać ze swymi zagranicznymi przyjaciółmi za wyjątkiem przyjęć oficjalnych i spotkań służbowych.”

Korespondent wraz z innymi zagranicznymi gośćmi jest na koncercie w jednym z moskiewskich teatrów. W przerwie są podejmowani przez gospodarzy luksusową kolacją.

„Po powrocie do naszej loży... światła na sali pogasły i rozpoczęła się druga część przedstawienia. Teraz dopiero zrozumiałem, że cała wybita po brzegi sala licząca około 5.000 ludzi musiała czekać na to, aby kilkunastu zagranicznych gości zjadło wytworną kolację i dopiło szampana. Spoglądając na salę pomyślałem sobie, że ci ludzie są socjalistami ale przedewszystkim Rosjanami i jako tacy odziedziczyli więcej tradycji od Dżingshana niż przejęli się naukami Karola Marxa”.

„Powoli zaczynam rozumieć ten kraj i tych ludzi”.

„Niech wam się zdaje przez chwilę, żeście się urodzili i spędzili całe swoje życie w domu poprawczym, gdzie trzeba było ciężko pracować i żeście wzamian dostawali trzy posiłki dziennie, ubranie i miejsce do spania”.

„Niech wam się zdaje, że ściany w tym domu poprawczym były oblepione plakatami głoszącymi, że wolność i sprawiedliwość można znaleźć tylko tutaj w tym domu poprawczym. Rozumie się samo przez się, że gdybyście mieli takie przeświadczenie, że wszędzie poza nim panuje nieład, strajki, bezrobocie i eksploatacja robotnika, to walczylibyście jak lwy z każdym, kto wam będzie tłumaczył, że może być inaczej”.

Oto opis warunków pracy w „domu poprawczym”.

„Rozpoczęliśmy właściwe zwiedzanie fabryki produkującej samoloty (fabryka znajduje się na przedmieściu Moskwy). Jest ona marnie oświetlona i nieprawdopodobnie brudna. Zakład zaopatrzony jest w najlepsze maszyny i instrumenty amerykańskie, widoczna jest jednak zła organizacja. podłogi są nierówne, stosy odpadków metalowych poniewierają się wszędzie i nikt nie trudzi się, aby je sprzątnąć. Nogi wielu dziewcząt obwiązane są szmatami. Inne noszą twarde sandały drewniane z metalowym gwoździem wystającym między wielkim a drugim palcem”.

„Jeden z mych towarzyszy szepnął mi do ucha: w Stanach Zjednoczonych najlepszym świadectwem wydajności fabryki jest jej czystość. Brudny zakład jest z całą pewnością nierentowny”.

Nowy dziennik wojskowy we Włoszech

Możemy z czytelnikami podzielić się dobrą wiadomością, że po raz pierwszy w „Przeglądzie Prasy” mamy sposobność zacytować nowe wojskowe pismo polskie. Na terenie Bazy 2. Korpusu powstał mianowicie nowy dziennik p. n. „Gazeta Żołnierza”. Zaspokoi on wzrastające potrzeby naszych rosnących w siły szeregów, jako młodszy brat „Dziennika Żołnierza A. P. W.”, założonego w r. 1943 jeszcze w Palestynie i towarzyszącego 2. Korpusowi przez Egipt do Włoch.

„Gazecie Żołnierza” życzymy najserdeczniej, aby osiągnęła te zamierzenia, jakie w pierwszym numerze (z 12 stycznia br.) sama sobie stawia:

„Na włoskiej ziemi spotykają się ci, którzy przybyli z dalekich tajg Syberii... ci, którzy dzielili ciężki chleb b. emigrantów w Szwajcarii czy Grecji”.

„Teraz stanowimy jedną rodzinę ożywioną wspólnymi pragnieniami i celami, nic nas nie dzieli — wszystko nas łączy”.

„Żołnierz polski, ten z sowieckich łagrów, z niemieckich obozów koncentracyjnych, z niewoli hitlerowskiej, z Francji, z emigracji szwajcarskiej, z Grecji... teraz dopiero poczuł się wolnym. Swobodnym i szczęśliwym. Bo wiedział, że będzie mógł walczyć o ziszczenie własnych pragnień i marzeń. W polskim mundurze. W polskim wojsku”.

„W ramach Korpusu polskiego jednoczą się rozproszeni po klęsce 1939 r. Polacy, aby służyć jednej sprawie i jednemu celowi. Aby walczyć o Polskę Wolną, Niepodległą i Niepodzielną”.

„Gazeta Żołnierza” jest trybuną, z której przemawiać będziemy wszyscy. Jest ona własnością ogółu. Rodziny Żołnierskiej”.

„Na jej łamach znajdą się artykuły, określające punkt widzenia polskiej racji stanu. W piśmie tym podkreślać będziemy wkład zbrojny Polski do wysiłku aliantów w dziele uwolnienia świata od niewoli i strachu. — Tu szczerze wypowiadać będą swe myśli wszyscy nasi koledzy. „Gazeta Żołnierza” będzie wreszcie informowała o wydarzeniach na frontach wojny i polityki”.

„Nie chcemy używać słów górnych. Unikamy patosu. Pragniemy tylko zapewnić, że „Gazeta Żołnierza” służyć chce ogółowi”.

„W tej chwili na horyzoncie międzynarodowym zebrały się ciężkie chmury. Nie pierwszy to raz los Polski, jej przyszłości i szczęśliwego bytu — jest zagrożony”.

„Wierzymy jednak niezachwianie, że Żołnierz polski, Jego Czyn i Krew utorują nam wszystkim Drogę Powrotną do Polski. I że jak to już kiedyś pięknie i prosto wyraził Nasz Dowódca: DOJDZIEMY!”.

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy Armii Polskiej na Wschodzie. Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 53